z miłości do miasta

MAGAZYN TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY „WINNICA” | X 2023 – III 2024 | NR 14

na WINNICY

ISSN 2544–2880

fot. Alicja Błażyńska

„Generacje” – rzeźba Oskara Zięty wykonana metodą swobodnego formowania ciśnienia wewnętrznego – od 8 września 2023 r. stoi w Zielonej Górze na skwerze w pobliżu skrzyżowania ul. Bolesława Chrobrego i pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Jej wymiary to: wysokość – 6,5 m, długość – 3,3 m, szerokość – 2,4 m. Pole wypolerowanej powierzchni zajmuje 55 m kw. Całkowita waga wynosi 1,5 t.

We wrześniu 2022 roku podczas otwarcia wystawy swoich najnowszych prac w Muzeum Ziemi Lubuskiej Oskar Zięta zapowiedział wykonanie rzeźby w rodzinnym mieście, która będzie pomnikiem z okazji 800-lecia Zielonej Góry i 700-lecia uzyskania praw miejskich. W pierwszym planie rzeźba miała stanąć na pasie rozdzielającym jezdnie pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Po dokładniejszym obejrzeniu tego miejsca i dyskusji ze znawcami sztuki twórca zdecydował, że lepszym miejscem będzie niewielkie wzniesienie przy skrzyżowaniu placu z ul. Bolesława Chrobrego, gdzie do 1959 r. była katolicka część cmentarza Zielonego Krzyża. Uroczyste odsłonięcie rzeźby, która otrzymała nazwę „Generacje”, odbyło się we wrześniu 2023 r. Krótko mówiąc, praca symbolizuje pokolenia tych, którzy mieszkali, mieszkają i będą mieszkali w Winnym Grodzie. Inspiracją stał się relief na ścianie frontowej Biura Wystaw Artystycznych przy al. Niepodległości 19 autorstwa Mariana Szpakowskiego, zmarłego przed 40 lat zielonogórskiego artysty malarza. Rzeźba „Generacje” jest wykonana metodą opracowaną przez O. Ziętę wtedy, kiedy jako stypendysta przebywał na politechnice w szwajcarskim Zurychu. Twórca wyjaśnia, że po stworzeniu projektu techniką laserową wycina profile ze stalowej, wypolerowanej i lakierowanej blachy, szczelnie łączy je ze sobą na brzegach, by stworzyć płaskie formy i następnie wpompowuje powietrze do wnętrza.

O. Zięta urodził się w Zielonej Górze w 1975 r. Po ukończeniu nauki w Szkole Podstawowej nr 1 kształcił się w zielonogórskim Technikum Elektronicznym, następnie studiował architekturę na Politechnice Szczecińskiej. Zespół składający się z architektów, inżynierów i technologów znajduje się we Wrocławiu, gdzie mieszka O. Zięta. Zakład wykonujący prace, prowadzony przez siostrę twórcy, jest w Zielonej Górze. Jego rzeźby można oglądać w kolekcjach co najmniej 40 muzeów i galerii na całym świecie, m.in. w Centre Pompidou w Paryżu, Badisches Landmuseum w Karlsruhe, Museum für Gestaltung w Zurychu, Pinakotece w Monachium. Na Ostrowie Tumskim we Wrocławiu stoi jego rzeźba „Nawa”.

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY WINNICA

Park Tysiąclecia

fot. Alicja Błażyńska

W NUMERZE:

Niedaleko od ratusza
Park Tysiąclecia 2

Od redakcji
Winorośl w kosmosie 3

Widok z góry
Droga przez cmentarz 4-5
Miejsce wiecznego spoczynku 6-9

Literatura
Zamiatacze ulic malowanych 10-13
Co mnie urzekło, Zielona Góra, W winnicach obrodziły, Coraz wolniej 13

Recenzje i omówienia
Powrót Odyski 14
Rozmowa poetki z sobą 15
Dokumenty z dalekiej i bliskiej przeszłości 16

Ponad słowami
Od jednodniówki do dwutygodnika 17
Ocalić tradycję śpiewu białego 18-19
Mam pare obwolut zakazanych 19-20
Zagłębie kabaretowe jest kobietą 21-22
Degustacja komentowana 22-23

Adres
Ul. Żeromskiego 16 24-25

Święto
Gody diecezji 25

Sport
Nie ma śladu po studenckim ośrodku jeździeckim 26-27
Falubaz wrócił do ekstraligi żużlowej 28

Portret
Profesor, który został patronem ulicy 29-30

Satyra
Jubileuszowy konkurs 30

Jak zostałam zielonogórzanką
Szczęśliwy zbieg okoliczności 31-34

Kronika
To wszystko z miłości do miasta 35-37
Od wiosny do jesieni 38

Blisko ratusza
Plac Słowiański 39

Na wzgórzach
Winiarka Emma nie ta sama, ale taka sama 40

Winorośl w kosmosie

Czy Grünberg in Schlesien został założony w 1222 roku, to znaczy wtedy, kiedy powstało miasto Grünberg in Hessen, co potwierdza dokument lokacyjny przechowywany w tamtejszym archiwum, brakuje dowodu na piśmie. Pewnie tak, skoro w 1922 r. grünberczycy świętowali siedemsetlecie miasta, a gdzie jak gdzie, ale w Niemczech „Ordnung muss sein". Również nie da się ustalić, kiedy śląski Grünberg otrzymał prawa miejskie. Historycy przypuszczają, że mogło to stać się w 1323 r., po tym jak książęcy Głogów dostał taki dokument w 1253, Szprotawa i Żagań około 1260, Świebodzin w 1319. Nie mają z tym problemu gorzowianie, ponieważ akt lokacyjny podpisany przez margrabię brandenburskiego Jana I z dynastii askańskiej ma datę 2 lipca 1257 r.

Mimo braku czarno na białym w 2022 r. Zielona Góra świętowała osiemsetlecie powstania miasta i w 2023 – siedemsetlecie uzyskania praw miejskich. Były więc dodatkowe pieniądze na imprezy, wydawnictwa, pomniki itp. O niektórych zdarzeniach zielonogórzanie już zapomnieli. A które pozostaną w pamięci i dokumentach?

Wierzę, że rzeźba Generacje na skwerze przy Bolesława Chrobrego (czyt. str. 1), dzieło Oskara Zięty, będzie tam stała co najmniej do kolejnych jubileuszy. Mam nadzieję, że zrekonstruowana przez Artura Wochniaka figura winiarki Emmy (czyt. str. 40) nie zniknie w okolicznościach niemożliwych do określenia, jak oryginał. Przybyło malowideł na ścianach zwanych muralami. A skoro o nich, to resztki pierwszej takiej pracy w Zielonej Górze, wykonanej przez Ryszarda Kiełba i Andrzeja Stefanowskiego pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku, jeszcze można zobaczyć na kamienicy 27/28 przy pl. Matejki. Mam nadzieję, że bardziej trwałymi farbami Jakub Bitka wykonał malowidła przedstawiające honorowe zielonogórzanki Urszulę Dudziak przy al. Wojska Polskiego i Marylę Rodowicz przy ul. Kazimierza Wielkiego, pewnie więc deszcz lub historia ich tak szybko nie zmyje. To samo myślę o muralu Łukasza Chwałka i Jakuba Bitki na murze ogrodzenia aresztu śledczego przy Łużyckiej.

Zachowają się książki, nagrania, obrazy, fotografie, medale i znaczki. W pamięci pozostaną spacery po piwnicach winiarskich prowadzone przez fundację Tłocznia. Urośnie 800 drzew posadzonych z okazji jubileuszy. Park na Zatoniu pozostanie cudem natury.

Nie wiem, czy do jubileuszowych pamiątek zaliczyć przebudowę pl. Słowiańskiego (ogl. str. 39) i metamorfozę parku Tysiąclecia (ogl. str. 2). Jak i nie wiem, czy przy Piaskowej powstałby kryty parking, gdyby nie jubileusze. Taką samą wątpliwość mam, jeśli chodzi o przebudowę ośrodka wodnego na Ochli. Nie zdziwię się, jeśli podczas najbliższych wyborów samorządowych aktualny prezydent będzie się ubiegał o ponowny wybór, a jako dowody że na to zasługuje, wskaże obwodnicę południową otwartą w 2023 r. i rozbiórkę/budowę wiaduktu w ciągu al. Zjednoczenia.

W ramach jubileuszowych zdarzeń można było odrestaurować np. dawną winiarnię przy Boduena, któremuś placowi nadać imię 800-lecia, ulicy – 700-lecia, lub odwrotnie. Na patronaty czekają szkoły, hala, stadiony. Wybrać człowieka i uhonorować go jubileuszowym laurem.

Jestem przekonany, że ta zielonogórska winorośl, która znalazła się w balonie wysłanym w kosmos, do końca świata będzie niezniszczalną pamiątką po obu jubileuszach.

Alfred Siatecki

na WINNICY

Redagują:
Alicja Błażyńska, Alina Polak-Woźniak, Alfred Siatecki – redaktor naczelny, Sylwester Woźniak.
Projekt winiety – Wacław Serdeczny. Projekt layoutu, skład i łamanie – Emilia Ćwilińska. Druk – Oficyna Wydawnicza UZ
Numer zamknięto 15 października 2023 r.

Adres do korespondencji
65-093 Zielona Góra, ul. Lisia 37, e-mail: tmzg-winnica@o2.pl, www.tmzg.org.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość wykorzystania publikowanych materiałów na stronie internetowej TMZG „W". Za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych redakcja nie odpowiada.

ISSN 2544-2848

Jan Zelek

Droga przez nekropolię

Pierwszym znanym miejscem pochówku w Zielonej Górze jest cmentarz Świętego Jana powstały przed 1323 rokiem, był czynny jeszcze w 1812. Znajdował się między placem Matejki, ulicami Kupiecką i Podgórną. Swoją nazwę zawdzięczał kościołowi pod tym samym wezwaniem.

Kolejnym był ewangelicki cmentarz Świętej Trójcy, istniejący w latach 1588-1814. Znajdował się tam, gdzie teraz jest plac Słowiański. W związku z budową targowiska w 1817 r. został przeniesiony na teren przy ul. Świętej Trójcy i Dąbrówki. Został zlikwidowany na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku. Część nekropolii od strony budynków mieszkalnych została zniwelowana wcześniej bez przeprowadzenia ekshumacji. W tym miejscu jest obecnie niewielki park.

W 1814 r. powstał cmentarz izraelicki przy ul. Wrocławskiej. Mimo że został zlikwidowany 6 marca 1969 r., pozostał tam dom przedpogrzebowy i roślinność. Część macew i inne elementy nagrobne przejęły firmy kamieniarskie. Część została wbudowana w chodnik ul. Partyzantów przy wejściu do prokuratury w Zielonej Górze.

Początek cmentarza Zielonego Krzyża sięga 1628 r.
Najstarsza jego część, tzw. cmentarz katolicki, była ulokowana w pobliżu ówczesnego szpitala, gdzie do niedawna stał budynek mieszczący biura Ligi Obrony Kraju. Właścicielem cmentarza była parafia katolicka i chowano tam zmarłych wyznania katolickiego. Nowsza część cmentarza znajdowała się na terenie obecnego parku Tysiąclecia, gdzie byli chowani zmarli wyznania ewangelickiego. Cmentarz Zielonego Krzyża uzyskał nazwę od pierwszego pochówku 1 czerwca 1628 r. Podczas pogrzebu chłopca jego koledzy ze szkoły trzymali w rękach zielone gałązki. Kapłan, widząc zieleń, w mowie pogrzebowej zacytował motyw z psalmu 92. Od tego zdarzenia mieszkańcy zaczęli nazywać nekropolię cmentarzem Zielonego Krzyża. To miejsce pochówku w 1816 r. uległo rozbudowie w kierunku wschodnim. Kolejne rozbudowy były w 1837 i 1852 r. Od 1837 do 1959 r. funkcjonował jako miejski cmentarz komunalny.

Od momentu przejęcia władzy przez Polaków w 1945 r. pochówki w Zielonej Górze odbywały się w południowo-wschodniej części nekropolii przy ul. Wazów pomiędzy mauzoleum Beuchelta a ul. Staszica. Zdarzały się pojedyncze pochówki w innych punktach cmentarza. Grabarzem w 1946 r. był Polak ożeniony z Niemką. Prawdopodobnie swoje obowiązki pełnił także wcześniej. Miał do dyspozycji niewielki budynek gospodarczy, usytuowany na tyłach obecnego pawilonu handlowego przy ul. Mieszka I. Po drugiej stronie ul. Wazów, gdzie jest Szpital Uniwersytecki, w latach 1950-1955 znajdowała się siedziba Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Dotąd nie ustalono, gdzie oprawcy grzebali ciała osób zamęczonych w trakcie śledztw. Zdaniem jednych badaczy pod osłoną nocy chowali je na terenie przyszpitalnym, zdaniem drugich – w nieoznaczonych grobach na pobliskim cmentarzu.

Kaplica pełniąca funkcję domu przedpogrzebowego mieściła się w nieistniejącym budynku, na miejscu którego jest portiernia szpitala przy ul. Zyty. Tam również znajdowało się prosektorium. Pierwszym patomorfologiem był doktor

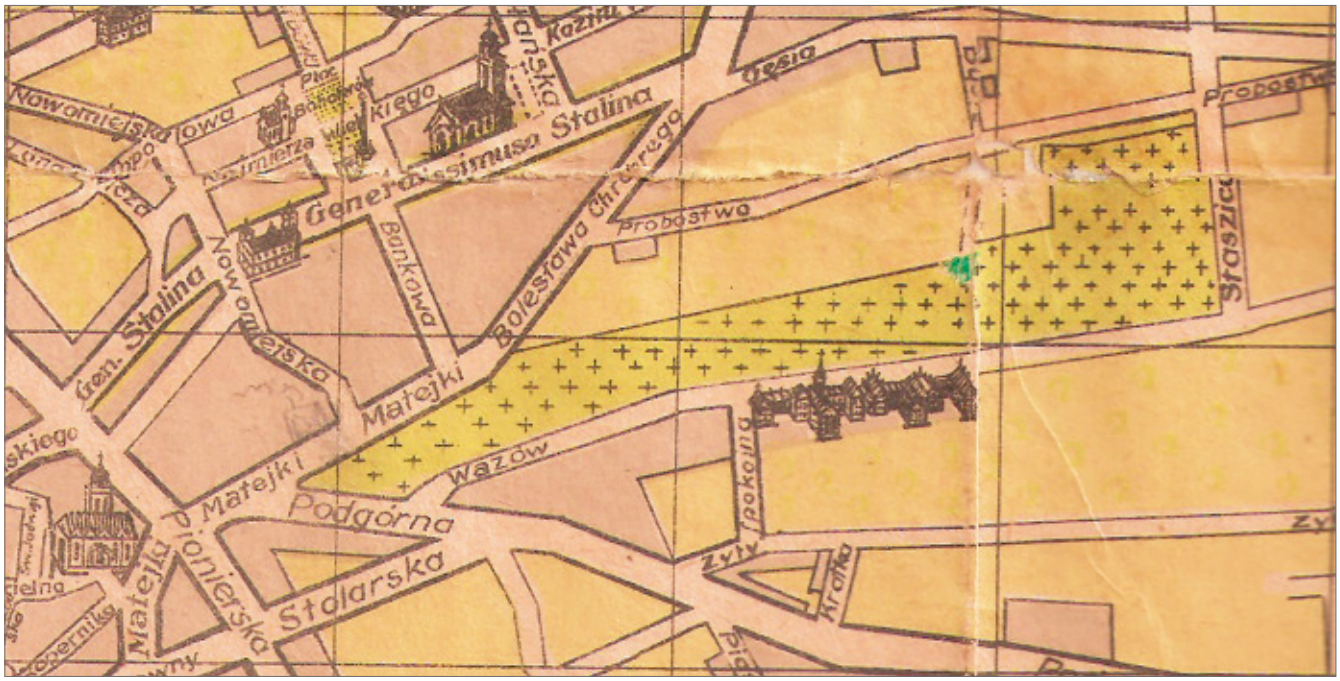

Wycinek planu Zielonej Góry z końca lat 40. XX wieku

Feliks Zgórka. Pierwszy zakład pogrzebowy w Zielonej Górze prowadził Edward Borowczyk, właściciel fabryki mebli przy ul. Pionierskiej 65/66 (obecnie Kupiecka). Zapewne wykonywał głównie trumny, ponieważ innych mebli po wysiedlonych poprzednich mieszkańcach miasta nie brakowało.

Cmentarz był miejscem wydarzeń, które nie powinny mieć miejsca. W lipcu 1945 r. burmistrz Tomasz Sobkowiak wysłał pismo do sowieckiej komendy garnizonu, która mieściła się w budynkach poszpitalnych, dotyczące ćwiczeń przeprowadzonych 17 lipca w godzinach przedpołudniowych. Powołując się na kierownika cmentarza, pisał w nim, że „Przez drogi cmentarne przejeżdżają furmanki konne, jeźdźcy na koniach i motocykliści. Kilka drzew na cmentarzu wycięto, ażeby przy ćwiczeniach mieć lepszy widok. Zdarza się, że żołnierze rosyjscy wchodzą do krematorium, otwierają trumny oraz urny z popiołami nieboszczyków. Wobec takich stosunków niemożliwe jest utrzymanie porządku na cmentarzu. Proszę Komendę Garnizonu, by zakazała wojsku przejeżdżanie wozami i końmi przez cmentarz i urządzanie na nim ćwiczeń." Wielokrotnie dochodziło do rozkopywania i grabieży grobów. Niechlubną sławą zapisała się tzw. Banda Czarnych Koszul, która była znana także z licznych rozbojów w Zielonej Górze i okolicznych miejscowościach.

Likwidacja cmentarza Zielonego Krzyża zaczęła się w 1959 r.

Powodów tego mogło być było kilka, między innymi umiejscowienie nekropolii w centrum miasta i brak miejsca na nowe pochówki, a także budowa łącznika ówczesnej ul. Małgorzaty Fornalskiej (obecnie Bankowa) z ul. Krajowej Rady Narodowej (obecnie Podgórna). Zdaniem starszych zielonogórzan, chodziło o skrócenie przejścia z budynku Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej do budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR. (Żartowano, że powstała droga po trupach do władzy.)

Z powodu braku dokumentów dotyczących ekshumacji jedynie na podstawie zeznań świadków można podać, że prace były prowadzone wieloetapowo. W 1952 r. w związku z budową osiedla z obrzeży nekropolii od strony ul. Mieszka I i Bolesława Chrobrego 49, 51, 53 usunięto część grobów. Powstało tam m.in. boisko, na którym obecnie stoi pawilon handlowy. Jak twierdzą ci, z którymi rozmawiałem, podczas zabaw młodzież napotykała na ludzkie kości. Kolejny etap likwidacji nekropolii dotyczy części katolickiej, gdzie obecnie jest pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego, a wcześniej był wspomniany wyżej łącznik. Moi rozmówcy pamiętają, że teren został ogrodzony, prace ekshumacyjne prowadzono w nocy. Wykonywali je więźniowie, żołnierze i milicjanci. W przypadku szczątków Polaków rodziny pilnowały, aby przeprowadzający ekshumację przenieśli je w trumnach na nowe miejsca pochówków. Zwłoki co najmniej 124 zmarłych zostały przeniesione do kwater nr 5, 7 i 34 na cmentarzu przy ul Wrocławskiej. Z kolei na początku lat 90. zostały one przeniesione do kwatery nr 51, gdzie umieszczono tablicę informującą, że jest to miejsce spoczynku ofiar terroru hitlerowskiego. Opuszczone miejsca zostały powtórnie zagospodarowane. Szczątki z innych grobów cmentarza Zielonego Krzyża zostały ekshumowane do kwater 10A, 10B, 11, 12 i 13 w lewej części cmentarza Jędrzychowskiego. Były one umieszczane w trumnach nawet po dziewięć zwłok w jednej. Obecnie

Mauzoleum Georga Beuchelta (widok przedwojenny)

w tych kwaterach nie chowa się nowych zmarłych. Szczątki z części ewangelickiej, czyli z przyszłego parku, ekshumowano w trumnach po kilka zwłok, pochowano je także na cmentarzu Jędrzychowskim, ale po stronie prawej, tzw. ewangelickiej, w bliskiej odległości od pomnika pamięci ofiar wojen.

W zachowanym rejestrze grobów usytuowanych na cmentarzu Zielonego Krzyża, sporządzonym prawdopodobnie w 1953 r., znajduje się 1914 ustalonych grobów. Część z nich to groby rodzinne, dlatego liczba pochówków była większa, w tym 124 groby polskie i sześć niemieckich z okresu od września 1947 do lipca 1953 r. Z rejestru wynika, że pochówków zarejestrowanych było 5592. Rejestr nie obejmuje mogił zbiorowych Niemców, którzy w 1945 r. popełnili samobójstwo bądź zginęli z rąk żołnierzy sowieckich. Do tej liczby należy także dodać pochówki po 1945 r. Na przykład w 1950 r. zmarło 179 zielonogórzan. Anna Jackiewicz podaje w „Roczniku Lubuskim", nr 32, 2006 r., że ekshumację rozpoczęto w 1962 lub 1963 r., prowadzono ją trzy lata. Na nekropolię przy ul. Wrocławskiej przeniesiono około 320 grobów, a na cmentarz Jędrzychowski co najmniej 2005.

Nagrobki z cmentarza Zielonego Krzyża zostały zdemontowane, niewielka ich część trafiła do przetworzenia przez firmy kamieniarskie. Większość zniszczonych wywieziono na składowisko w parku Piastowskim, gdzie obecnie jest amfiteatr.

Park Tysiąclecia o powierzchni 9,6 ha

został oficjalnie otwarty 16 lipca 1966 r. dla upamiętnienia tysiąclecia państwa polskiego. Prace porządkowe były wykonywane w tzw. czynie społecznym. Z obiektów pocmentarnych zachowano budynek kaplicy z 1922 r. z pięknym klasycystycznym portykiem, w którym w 1924 r. powstało krematorium. Jego właścicielem było Stowarzyszenie Wolnomyślicieli na rzecz Kremacji (Verein Freidenkar für Feuerbertattung Orstgruppe Grünberg). Budynek zaprojektował Nerce, który był także autorem reprezentacyjnej części cmentarza i kolumbarium na tysiąc urn. Nekropolia Zielonego Krzyża należała do najładniejszych niemieckim na Dolnym Śląsku.

W 2023 r. trwała przebudowa tego miejsca według nowej koncepcji zagospodarowania parku. Podczas prac budowlanych odkryto groby, których nie ekshumowano w czasie likwidacji cmentarza w latach 60. Prochy z części, na której prowadzone były prace, zostały ekshumowane.

Jan Zelek

Miejsce wiecznego spoczynku

Najwięcej zielonogórzan ma groby na cmentarzu przy ul. Wrocławskiej, zwanym Starym. Jego początki sięgają 1952 roku. W 2005 r. rozpoczęła się budowa cmentarza zwanego Nowym. W granicach tzw. Starego Miasta znajdują się czynne cmentarze na Chynowie i na Jędrzychowie. Nowe Miasto to dziewięć miejsc pochówku.

W 1952 r. przystąpiono do opracowania projektu likwidacji cmentarza Zielonego Krzyża znajdującego się w środku miasta między ulicami: Wazów, Podgórną, Jana Matejki, Bolesława Chrobrego, Probostwo i Stanisława Staszica oraz urządzenia nowego miejsca spoczynku zmarłych.

Na nowy cmentarz wybrano

nieczynne wyrobisko

po byłej cegielni przy ul. Wrocławskiej.

W trakcie lustracji przeprowadzonej 8 lutego 1952 r. stwierdzono, że projektowane miejsce pochówków znajduje się w odległości większej niż 150 m od najbliższej zabudowy mieszkalnej, teren ma ukształtowanie urozmaicone, tzn. pagórkowate z tendencją spadku w kierunku ul. Wrocławskiej. Istniejąca roślinność jest charakterystyczna dla gleb suchych piaszczystych. Odkrywki glebowe na głębokości do 2 m nie wykazały wody zaskórnej, profil na poziomie C to skała macierzysta – piasek z drobnym rysunkiem pionowym śladów orsztynu. Stwierdzono, że 80 proc. terenu jest pokryte lasem iglastym z domieszką brzóz, akacji i osik o zróżnicowanym wzroście od 3 do 18 m. Zdaniem lustratorów, „obszar przeznaczony na cmentarz komunalny odpowiada warunkom ustawowym i przydatny jest do grzebania zwłok".

Zleceniodawcą budowy cmentarza było Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze, a wykonawcą dokumentacji projektowej oddział Centralnego Biura Studiów i Projektów Budownictwa Komunalnego w Poznaniu. Autorem projektu był mgr inż. Bernard Lisiak. W założeniach projektowych przyjęto, że cmentarz będzie typu leśnego o powierzchni 24 ha. Enklawa została wydzielona w lesie oddalonym o 2,5 km od centrum miasta. Z uwagi na charakter i rodzaj cmentarza w projekcie zwrócono szczególną uwagę na nasadzenia drzewami i krzewami ozdobnymi otoczenia pól grobowych i alejek oraz ich właściwe utrzymanie. Dlatego między innymi zaprojektowano trzy usytuowane w kwaterach nr 1, 4 i 6 ozdobne baseny betonowe na

Golgota Polski na cmentarzu Starym przy ul. Wrocławskiej *fot. Daniel Jung*

Kwatera walk o wolność, niepodległość i osób represjonowanych *fot. Daniel Jung*

wodę o wymiarach 5 x 5 i wysokości 0,8 m. Woda dostarczana była rurociągiem z pomp znajdujących się w terenie wyższym od poziomu basenów.

Projekt zagospodarowania cmentarza obejmował także budowę domu przedpogrzebowego, dwa wjazdy z parkingiem, drogę główną, plac eksportacyjny, groby dla zasłużonych, łąkę widokową z obramowaniem z bylin i krzewów, groby przy żywopłotach, pola grzebalne w starodrzewie i młodniku sosnowym z grobami rodzinnymi, dla dzieci i wyznaniowe. W 1954 r. zaprojektowano główną bramę wjazdową z furtkami wejściowymi z żelaza kutego w wykonaniu ozdobnym. Między murowanymi filarami była okładzina z piaskowca i murki skrzydłowe. Autorem projektu był mgr inż. Z. Bonicki z Biura Projektów Budownictwa Komunalnego w Poznaniu. Brama usytuowana została na wprost głównej alei i domu przedpogrzebowego.

Czy 7 stycznia 1952 r. miał miejsce pierwszy pochówek, kiedy cmentarz jeszcze traktowano jako tymczasowy? Tak wynika z treści nagrobka znajdującego się w kwaterze nr 7. Przyjmuje się, co potwierdzają dokumenty, że pierwszy pochówek odbył się 12 lipca 1954 r. w kwaterze nr 28. W 1954 r. na cmentarzu przy Wrocławskiej zostało pochowanych 13 zmarłych. Brak dokumentów świadczących o tym, że od 1953 do pierwszej połowy 1954 r. odbywały się tam pochówki. Jest pewne, że w 1952 pochowano co najmniej 27 osób na cmentarzu Zielonego Krzyża i cztery w 1953 r.

Pierwsze pogrzeby na nowej nekropolii odbywały się następująco: kondukt pogrzebowy szedł z miasta ul. Wrocławską. Trumna ze zmarłym najpierw była przewożona poniemieckim karawanem, a potem przeznaczonym do tego autobusem.

W 1955 r. zatwierdzono projekt budowy domu przedpogrzebowego, który miał zastąpić tymczasowy budynek usytuowany w użytkowanej części cmentarza. Był to drewniany obiekt, w którym urządzono prowizorycznie pomieszczenie eksportacyjne, biura i magazyn narzędzi. Prawdopodobnie powstał jeszcze w XIX wieku, był użytkowany przez istniejącą wówczas cegielnię. Znajdował się po lewej stronie za bramą wejściową, będącej wówczas bramą główną.

Inwestor określił, że dom przedpogrzebowy będzie przeznaczony do przechowania, eksportacji i ewentualnych oględzin zwłok. Składanie zwłok ma odbywać od strony części gospodarczej, skąd są przenoszone do sali eksportacyjnej, dostępnej dla uczestników pogrzebu. Następnie zwłoki eksportowane są wejściem głównym do grobu na terenie cmentarza. Projekt domu przedpogrzebowego zakładał powierzchnię 134 m kw. i kubaturę 535 m sześc. Inwestor zlecił projektantowi zwiększenie powierzchni sali eksportacyjnej i zaprojektowanie części piwnicznej, w której znalazła się dodatkowa przechowalnia zwłok.

Grób twórców Towarzystwa Rzemieślników Polskich w Grünbergu na cmentarzu Starym w Zielonej Górze *fot. Alicja Błażyńska*

Pomnik na cmentarzu drzonkowskim z napisami po polsku i niemiecku *fot. Daniel Jung*

Kolumbarium na cmentarzu Nowym przy ul. Wrocławskiej *fot. Daniel Jung*

Kultowe miejsce

Alfred Siatecki: – Z moich obserwacji wynika, że od wieków cmentarze i cmentarzyska funkcjonują w tym samych miejscach, najczęściej na pagórkach lub zboczach.
Andrzej Marcinkian: – Od zawsze miejsca przeznaczone na nekropolie żywi traktują ze szczególnym namaszczeniem. Następujące po sobie pokolenia uważają je za tereny wskazane i wybrane przez bogów, za święte. W Bieganowie koło Cybinki była dwukrotna, kilkudziesięcioletnia przerwa w użytkowaniu cmentarzyska. W położonej niedaleko Bieganowa Grzmiącej przerwa w chowaniu szczątków zmarłych sięgała nawet kilkuset lat. Wypracowany przez lata charakter okolicy kolejnym pokoleniom kojarzył się z cmentarzem. Nie wierzę, aby szczególne traktowanie tych miejsc wynikało jedynie z przekazu ustnego, odnoszącego się do konkretnego punktu. Istniała zapewne jakaś uniwersalna reguła dla całych, ogromnych połaci ziem zajmowanych przez ludność cywilizacji łużyckiej . Większość archeologów uważa, że miejsca na cmentarzyska wybierano ze względów kultowych, na piaszczystych wyniesieniach, tak aby górowały nad okolicą. Rzadko spotyka się obiekty sepulkralne tam, gdzie ziemia jest lessowa czy gliniasta albo wręcz żwirowa. Żółty piasek mógł się kojarzyć dawnym mieszkańcom z kolorem ognia i z naczelnym bóstwem, jakim było słońce. Przodkowie oddawali prochy zmarłych bóstwu, aby pod jego opieką zaznało szczęścia wiekuistego. Wierzyli w drugie życie, dlatego budowali groby. Uważali, że na tamtym świecie, niedostępnym dla żywych, każdy ma swoje miejsce. Kto był szamanem na ziemi, w zaświatach też będzie co najmniej szamanem, kto tu dowodził drużyną i tam będzie dowódcą. Kto w swojej osadzie strugał figurki z drewna, miał je robić na tamtym świecie. Miejsce w zaświatach zależało od tego, jakim kto był człowiekiem na ziemi, czy składał ofiary bóstwom, czy starał się zaskarbić sobie opiekę słońca i lokalnych bogów.

Z wywiadu-rzeki „Tajemnice naszej ziemi" (Zielona Góra 2011, wyd. Pro Libris)

W 1962 r. powstał kolejny projekt domu przedpogrzebowego. Ten nie uwzględnia części podziemnej.

Pierwszy etap budowy

cmentarza obejmował prowizoryczne urządzenie południowo-zachodniej części tego miejsca, a więc budowę ogrodzenia, bramy i niwelację terenu. To fragment projektu, który miał wystarczyć na sześć do dziesięciu lat. Postanowiono, że wszystkie prace muszą być wykonane według zasad obowiązujących przy urządzaniu terenów zielonych i ziemno-drogowych. Założono, że pierwsza część cmentarza nie będzie rozwiązaniem prowizorycznym. Wjazd i parking zostanie umocniony nawierzchnią asfaltową w obramowaniu z piaskowca lub szarogłazu, z którego także zostanie wykonane obudowanie bramy. Całość miała kontrastować z zielenią i dwoma grupami świerków. Część drogi głównej przewidzianej w pierwszym etapie będzie wykonana z tłucznia kamiennego i ceglanego. Dotyczyło to również dróg brzegowych i okrągłych placów z plastyką. Na drogi między polami grzebalnymi przewidziano utwardzenie drobnym tłuczniem lub gruboziarnistym żwirem. Pola grzebalne miały zawierają przeciętnie po 500 grobów. Dwa pola wyznaczono na groby zmarłych innego wyznania jak rzymskokatolickie. Pozostałe zostały przeznaczone dla zmarłych katolików i bezwyznaniowców.

Kosztorys opiewał na 984.549 złotych, łącznie z wydatkami na budowę domu przedpogrzebowego i na zakup materiałów. Termin wykonania wyznaczono na koniec 1952 r. Wykonawcą robót było Miejskie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze w Zielonej Górze.

1957-1958 – budowa ulicy będącej obecnie pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego, gdzie wcześniej był cmentarz katolicki

fot. Czesław Łuniewicz

W miarę potrzeb cmentarz komunalny był rozbudowywany. Powstawały kolejne miejsca pochówku. W 1983 r. wykonano sieć wodociągową i oświetlenie. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przebudowano parking z nawierzchnią szutrową. Powstał pierwszy pawilon handlowy. W 1993 r. powstały kolejne trzy pawilony. Nawierzchnię parkingu utwardzono oraz dobudowano obecną bramę główną.

Wszechstronna rozbudowa cmentarza miała miejsce w latach 1992-2003, kiedy prezesem Zielonogórskiego Miejskiego Zakładu Pogrzebowego został Ferdynand Judziński, a kierownikiem cmentarza Krzysztof Postrożny. W latach 1997-1998 został rozbudowany dom przedpogrzebowy. Dobudowano piętro z częścią socjalną dla pracowników. Wtedy zbudowano chłodnię i miejsce na przechowywanie zwłok. Także zmieniono elewację budynku i wystrój sali eksportacyjnej.

Pod koniec XX wieku powstały pierwsze grobowce i ogródek urnowy. Wtedy także uporządkowano drogi i alejki oraz udostępniono wyszukiwarkę grobów. I, na co zwracali uwagę bliscy zmarłych, poprawiła się jakość świadczonych usług, stabilizacja i profesjonalizacja załogi.

W latach 1998–2002

rozpoczęto rozbudowę

cmentarza. Powstały tereny grzebalne od strony osiedla Raculka i ul. Chmielnej. Ówczesne władze Zielonej Góry zgodziły się, żeby pieniądze z dochodów cmentarza zostały przeznaczone na jego potrzeby, a nie były przekazywane do kasy miasta. W wyniku tej decyzji cmentarz komunalny uzyskał fundusz na inwestycje i modernizację nekropolii. To spowodowało, że zielonogórski cmentarz przy ul. Wrocławskiej uzyskał opinię najładniejszego i najlepiej urządzonego takiego miejsca w Polsce.

Obecnie na cmentarzu budowane są jedynie kolumbaria na grzebanie zmarłych w urnach i powtórne pochówki.

W 2005 r. rozpoczęła się budowa cmentarza po drugiej stronie ul. Wrocławskiej. Na różne prace w tym miejscu miasto przeznaczyło ponad 23 mln zł. Są miejsca pochówku i jest dom przedpogrzebowy. Jednak nie wszystko wyszło tak, jak tego oczekiwano. Oprócz miejsc grzebalnych miała tam powstać spalarnia zwłok.

41 HA POD GROBAMI

Cmentarz Stary zajmuje 24,7 ha. Od początku istnienia tego miejsca wiecznego spoczynku odbyło się tam około 40 tys. pochówków. W 2022 r. było ich 860. Cmentarz Nowy docelowo ma zajmować 16,3 ha, obecnie to około 7,5 ha. Pierwszy pochówek miał miejsce 5 grudnia 2008 r. Dotąd pochowano tam ponad 5,3 tys. zmarłych. Na tym terenie jest około 2,5 tys. miejsc grzebalnych do wykorzystania. W 2022 r. było 440 pochówków.

Dom przedpogrzebowy na cmentarzu Nowym *fot. Daniel Jung*

12 CMENTARZY

Pierwszą jednostką sprawującą nadzór nad cmentarzem Zielonego Krzyża był Zarząd Miejski, następnie Miejskie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze. Po przekształceniu MPO w Przedsiębiorstwo Eksploatacji Dróg i Zieleni kierownikami cmentarza byli: Zdzisław Dominiak, Leon Szymański i Stefan Bomski. W 1992 r. ze struktur PEDiZ-u wydzielono Miejski Zakład Pogrzebowy. Jego prezesami byli: Ferdynand Judziński, Andrzej Szablewski, Anna Halicka i Mirosław Gruszecki, a kierownikami cmentarza Krzysztof Postrożny i Mariusz Knyspel. W 2020 r. Miejski Zakład Pogrzebowy został połączony z Palmiarnią w Zielonogórskie Zakłady Usług Miejskich. Prezesi ZZUM to kolejno: Andrzej Kielich, Marian Ziętkiewicz, Janusz Jankowski i M. Knyspel. MZP kieruje Dorota Gruszecka. Zakładowi podlegają cmentarze: Stary i Nowy przy ul. Wrocławskiej, na Chynowie i na Jędrzychowie. Po włączeniu gminy wiejskiej do miasta, od 1 maja 2019 r. zakład administruje także cmentarzami w sołectwach: Drzonków, Jarogniewice, Łężyca, Nowy Kisielin, Ochla, Przylep, Racula, Stary Kisielin i Zawada.

Dorian Gołąbek

Zamiatacze ulic malowanych

„Możesz już nie chodzić po bagnach i lasach, ale twój wzrok zawsze przykuje przelatujący dzięcioł. Nigdy nie pozostaniesz obojętny na połyskliwe piękno pierwszych wiosennych szpaków. Zawsze przystaniesz na dźwięk nieznajomego śpiewu. Nigdy nie przestaniesz obserwować" – napisał Stanisław Łubieński w „Dwunastu srokach za ogon".

Zacząłem obserwować ptaki właściwie przypadkiem. Ot, pewnej zimy nadarzyła się okazja, którą wykorzystałem wysypując resztkę słonecznika na parapet. Wtedy jeszcze nie sądziłem, że te małe, pierzaste istoty staną się mi tak bliskie. Z czasem zorientowałem się, że obserwacja ich pochłania mnie bez reszty i uzależnia, a przy tym daje mi tyle radości i spełnienia, ile jeszcze nigdy w swoim życiu nie doświadczyłem.

Początek był zupełnie niewinny i niezapowiadający ogromnej fali fascynacji, która później na mnie spłynęła. Niemal każdej zimy pojawiały się u mnie przebłyski chęci zainstalowania gdzieś karmnika, ale jakoś nigdy nie mogłem się do tego zabrać. Miałem dość ograniczoną wiedzę w tym temacie i wiele obaw. Może zapomnę dosypywać im ziarna? Albo kupię coś, co im zaszkodzi i przyczynię się do cierpienia, a nawet śmierci tych, którym chciałem pomóc? Te myśli skutecznie powstrzymywały mnie przed zaangażowaniem się. Jednak któregoś razu nastąpił przełom. Tego dnia jakiś dziwny przypadek sprawił, że spojrzałem za okno w idealnym momencie, by ujrzeć chmarę sikorek atakującą resztki winogron, które, pokryte śniegiem i nadgniłe, już chyba tylko z przyzwyczajenia trzymały się gałązek winorośli rosnącej u sąsiadki. Zacząłem im się bacznie przyglądać. Widziałem jak kolory ich piór, mimo swej wyrazistości, doskonale stapiają się z barwą otoczenia i jak znikają w gąszczu gałęzi i suchych liści, wprawiając całą roślinę w ruch i gorączkowe drżenie. Naraz wszystkie zerwały się do lotu i niczym ryby w ławicy, jeden organizm składający się z wielu istnień, odleciały na pobliską jabłoń. Przypomniałem sobie o zalegającej w mojej szafce resztce słonecznika. Co mi szkodzi? Rozsypałem ziarna na parapecie i czekałem. Starałem się nie poruszyć, siedząc przy oknie i obserwując ptaki igrające nieopodal. Mijały kolejne minuty i wraz z ich upływem sikorki trochę się ośmieliły. Zaczęły sprawdzać co stanie się, gdy przysiądą na moment przy oknie. Widząc mój bezruch robiły się coraz śmielsze i słonecznik szybko zniknął. Mogłem z bliska przyjrzeć się ich ubarwieniu, budowie, figlarnym oczkom i zadziornym dzióbkom. Niektóre kojarzyłem z nazwy. Sikorka bogatka, modraszka... Pierwszy raz miałem okazję spotkać je w tak małej odległości. Pojawiły się też inne ptaki, których nigdy nie widziałem. Po pewnym czasie zacząłem szukać informacji. Z mgły niewiedzy wyłaniały się kolejno – sikorka sosnówka, sikorka czarnogłówka, zięba, kos, drozd śpiewak, kwiczoł. Obserwacje pochłonęły mnie i wkrótce przyczyniłem się do wykupienia całych zapasów słonecznika z osiedlowego sklepiku. Z początku rozsypywałem go na parapecie, ale niedługo potem skleciłem z tego, co akurat miałem pod ręką prosty karmnik. Zainstalowałem go pod oknem swojego pokoju, by móc mieć ciągły kontakt z moimi pierzastymi przyjaciółmi. Czytałem o nich coraz więcej, wysnuwałem własne wnioski przyglądając się ich zachowaniom, podejmowałem próby robienia im zdjęć. Z początku nie były one najlepszej jakości i rzadko w pełni oddawały piękno odwiedzających mnie ptaków, jednak z czasem ptaszkowie moi przyzwyczaili się do ciągłej obecności człowieka w oknie i już nie był im straszny mój ruch.

Większość nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie piękno i bogactwo natury ich otacza. Nie zwracamy uwagi na ptaki, kwiaty, drzewa, drobne zwierzęta.

Czas moich obserwacji przypadł akurat na moment krytyczny w moim życiu i muszę przyznać, że codzienne przesiadywanie przy szybie i opieka nad tymi skrzydlatymi istotkami były jedynym, co utrzymywało mnie na powierzchni. Ostatnia ostoja i nadzieja dla znużonego wędrowca. Ptaki wiele mnie nauczyły. Ćwiczyłem cierpliwość, próbując pozostać w bezruchu przez długie godziny. Nauczyłem się na nowo patrzeć i dostrzegać szczegóły na małych skrzydełkach, drobnych pazurkach i dziobach, a także wyszkoliłem swój słuch w wychwytywaniu i rozpoznawaniu ptasich treli. Czymś niesamowitym było dla mnie uchwycenie spojrzenia sikorki, która zamiast uciec, przypatrywała mi się ciekawie. Spoglądając w maleńkie, czarne oczko poczułem niemal boleśnie żywy związek z najbardziej pierwotną i dziką formą natury. Wstrząsnęło to mną dogłębnie i do końca dnia byłem podekscytowany. Uczyłem się ich zachowań i zwyczajów. Widziałem modraszki – prawie najmniejsze sikorki, zaczepiające większe od siebie ptaki. Nauczyłem się, że drozdy i kosy wolą jabłka, czyże słonecznik w łupinach, a sikorki łuskany. Zięby pojawiały się jedynie przed i po opadach śniegu lub deszczu. Byłem w stanie rozpoznać nawołujące i ostrzegawcze głosy różnych ptaków, a także odróżniać samce od samic. Wiedziałem, że gdy karmnik pustoszeje oznacza to pojawienie się drapieżnika i potrafiłem oszacować ile czasu zostało ptakom do zapadnięcia zmroku, kiedy znikną, szukając schronienia na noc. Dowiedziałem się, że ogon sroki opalizuje zielenią, błękitem i fioletem w zależności tego jak pada światło. Z odległości kilkunastu centymetrów przyglądałem się czyżom rozłupującym łuski słonecznika. Zacząłem rozsypywać na ziemi ziarno dla bażanta, którego wygląd z bliska utwierdzał

w przekonaniu, że ptaki pochodzą od dinozaurów. A potem przybył drapieżca...

Krogulec, Accipiter nisus, jak podaje Lars Svensson w „Ptakach Europy i obszaru śródziemnomorskiego" gniazduje w lasach, także w pobliżu osad ludzkich; czasem w gęstszych partiach rozległych parków lub ogrodów. Prócz myszołowa najliczniejszy szponiasty w Europie. Żywi się małymi ptakami. Poluje, atakując z zaskoczenia i po szybkim pościgu, często nisko między drzewami, krzewami i budynkami. Goni małe ptaki nawet na piechotę pod krzewami i budynkami. [(...) Polska populacja częściowo wędrowna."

Wydawało się, że przybył znikąd. Któregoś dnia znalazłem nieopodal domu skrwawione pióra i rozszarpane ciałko sikorki. Zmartwiłem się i od razu przystąpiłem do próby wykrycia sprawcy. Bacznie obserwowałem okolicę, poszukując potencjalnych podejrzanych aż wreszcie go zobaczyłem. Siedział na próchniejącej gruszy i patrzył wygłodniałym wzrokiem w kierunku karmnika. Nawet z odległości byłem w stanie dostrzec intensywnie żółte oko, zakrzywiony dziób i mordercze, choć stosunkowo szczupłe nogi zakończone długimi szponami. Jasnym było, że wypatrywał ofiary. Paradoksalnie widok krogulca, który zabijał moje sikorki, zachwycił mnie. Widząc jego majestatyczną postawę, mimo zmartwienia o los mniejszych ptaków, czułem do niego szacunek i podziw. Wcześniej szukałem sprawcy mordu z zamiarem powstrzymania go, jednak teraz zrozumiałem, że nie mogę zatrzymać naturalnego przebiegu zdarzeń w wielkim kręgu życia. Jest drapieżca, musi więc być i ofiara. W końcu krogulec też musi coś jeść żeby przeżyć. Później kilka razy miałem okazję obserwować go w akcji. Szybki niczym wiatr i zwinny, w mgnieniu oka potrafił zdobyć pożywienie. W tych momentach wydawał się groźny i nieuchwytny. Kolejne objawienie dzikiej i nieposkromionej natury. Z racji tego, że sikorek było mnóstwo, jego ataki nie czyniły dużej szkody w ich liczebności, co nieco mnie pocieszało.

Następnie nadszedł czas czyży. Te małe, żółte ptaki nadciągnęły pod koniec stycznia gigantyczną chmarą, na oko składającą się z około stu osobników. Kolejne uniesienie. Pokochałem je od razu. Urzekła mnie ich odwaga, zadziorność i piękno. Po pewnym czasie zacząłem karmić je z ręki, co było magicznym niemal doświadczeniem. Odczucie ciepłego, drżącego i bardzo kruchego życia w dłoni bardzo mnie wzruszyło. Czułem się spełniony i pragnąłem, by ta chwila trwała wiecznie. Wtedy już wiedziałem, że ptaki będą obecne w moim życiu aż do końca i nigdy nie przestanę ich wielbić. Musiałem bardzo się starać, by wykarmić całe moje ptasie stado. Zacząłem kupować ogromne paczki słonecznika, którego porcje w karmniku i na parapecie uzupełniałem kilka razy dziennie. Miałem także poczucie obowiązku kontynuacji dokarmiania, bo nagłe jego zaprzestanie mogło negatywnie odbić się na ptakach. Wiele z nich mogło ostatkiem sił docierać do mojego karmnika będąc przyzwyczajonymi do tego, że zawsze znajdą tam pożywienie i gdyby go nie było, mogłoby się to okazać dla nich zgubne.

A było ich coraz więcej. Pojawiły się żółte jak cytryny dzwońce, trznadle i kulczyki. Na ziemi, pod karmnikiem, urzędowały zięby, wróble i mazurki. Od czasu do czasu karmnik pustoszał, gdy nadleciał dzięcioł. Kilka razy pojawiły się kosy i kwiczoły, które dostały w prezencie jabłka, a pod koniec zimy zleciały się wielobarwne

rys. Jacek Frąckiewicz

szczygły – najgłośniejsze z całego towarzystwa. Między tą gromadą przemykały pojedyncze czeczotki i makolągwy o różowych, jakby poplamionych sokiem malinowym, piersiach. Pewnego popołudnia w oddali zamajaczył mi ptak, którego nijak nie mogłem rozpoznać. Nie miałem żadnego punktu zaczepienia, bo też nie widziałem go zbyt dokładnie – ot, mignął mi jedynie pomarańczowo-czarny kształt. Po tym siedziałem nieruchomo w oknie licząc, że może znowu się pojawi, jednak tego dnia już go nie zobaczyłem. Postawiłem sobie za cel odkryć tożsamość przybysza. W ciągu następnych dni gorączkowo wypatrywałem go i starałem nie spłoszyć. Pojawiał się, jednak ciągle pozostawał w pewnym oddaleniu, nie przyzwyczajony do obecności człowieka. Całymi dniami chodziłem rozgorączkowany i zastanawiałem się jak ugryźć temat, gdzie szukać, kogo pytać? Miałem nie lada problem z jego identyfikacją, ale po tygodniu ciągłego przeglądania książek udało się – jer.

Jer, Fringilla montifringilla, „pospolicie gniazduje w skandynawskich wyżynnych brzezinach; unika gęstych, wysokich lasów, preferuje luźniejsze iglaste z liściastym podrostem. Wędrowny, zimuje w C i S Europie. W Polsce zimuje nielicznie. (...) Dość płochliwy. Ziarnojad, ale latem zjada też owady, a zimą bukiew."

Z czasem jerów pojawiło się kilka. Były bardziej nieśmiałe niż inne ptaki i bardzo płochliwe. Dumą napawało mnie, że na miejsce biesiad wybrały właśnie mój karmnik. Te ptasie stada igrające pod moim oknem sprawiły, że czułem się ważny – jakbym w końcu dla kogokolwiek coś znaczył. Byłem im potrzebny, a one mnie. Tak minęła cała zima. Wczesną wiosną szpaki zaczęły wyprowadzać z budek swoje młode, by nauczyć je poszukiwania pożywienia. Takie rodzinne wycieczki przez kilka tygodni regularnie odbywały się pod moim oknem. Miałem okazję zaobserwować jak młode szpaki dziobały swoich rodziców, by szybciej otrzymać dżdżownicę. Przedstawiało to obraz nadzwyczaj komiczny i zawsze poprawiało mi humor. Zbliżał się jednak czas smutku, kiedy to trzeba było zaprzestać dokarmiania, by ptaki wróciły do swego naturalnego trybu poszukiwania jedzenia. Kiedy ostatecznie wysypałem ostatnią porcję ziaren odczułem przeraźliwą pustkę. Przestaną się pojawiać. Okres pogodzenia się z ich brakiem był ciężki. Nie wiedziałem co ze sobą zrobić skoro wcześniej całe dnie spędzałem na gapieniu się w okno. Trzeba jednak było zacząć żyć. Mając w pamięci tę zimę łatwiej było mi znieść bolączki i problemy dnia codziennego, które od dłuższego czasu od siebie odpychałem. Z utęsknieniem wyczekiwałem kolejnej zimy.

Niedługo potem zorientowałem się, że coś zmieniło się w moim postrzeganiu świata. Mianowicie, okazało się, że ptaki są wszędzie. Nauczyłem się patrzeć i zacząłem dostrzegać je w miejscach, w których kompletnie się ich nie spodziewałem. Drzewa i krzewy były wypełnione melodią. Nad polami i wodą przemykały małe, pierzaste kształty. Pod oknami i dachami zabudowań kwitło ptasie życie. Okazało się, że nad rzeką mieszka maleńki strzyżyk z ogonkiem zadartym do góry i że w okolicy są prawie wszystkie gatunki dzięciołów gniazdujące w Polsce. Odkryłem gniazdo kopciuszka, które założył w lejku wiszącym w garażu, a także gniazdo słowika u sąsiada. Zacząłem zauważać jerzyki lepiące gniazda pod dachami budynków i przemykające w powietrzu jak ciemne strzały w poszukiwaniu komarów. Dotarło do mnie jak bardzo ślepy byłem dotychczas i jak ślepi są ludzie wokół mnie. Większość nie zdaje sobie sprawy z tego jakie piękno i bogactwo natury ich otacza. Nie zwracamy uwagi na ptaki, kwiaty, drzewa, drobne zwierzęta. Paradoksalnie nawet osoby mieszkające na wsi nie wiedzą, jakie stworzenia żyją wokół nich. Dla nich to „jakiś ptak", „jakiś robak", jakiś kwiatek albo chwast". Elementy natury, które nie przynoszą im zauważalnej i dużej korzyści są bezużyteczne. Takie podejście niezmiernie mnie przeraża i obawiam się do czego to doprowadzi.

Gołębie miejskie, Columba livia f. Urbana, „(zbiegłe z gołębników i wtórnie zdziczałe) pochodzą od gołębia skalnego. Gatunek ten był niegdyś wykorzystywany jako gołąb pocztowy i wciąż w formie udomowionej jest używany do wyścigów. Szeroko rozprzestrzeniony i liczny w miastach oraz miasteczkach. Osiadły."

Gołębie od zawsze były mi bliskie. Zwykłem żartować, że są moją rodziną i nigdy nie omieszkałem poczęstować ich ziarnem, jeśli jakieś akurat miałem pod ręką. Gołębie – ci mali zamiatacze ulic malowanych są zwierzętami zdecydowanie niedocenianymi. Nazywa się je „latającymi szczurami" i dla wielu są synonimem brudu i chorób – niesłusznie! To właśnie one po cichu czyszczą ulice z zalegających na nich śmieci i okruchów – często ze szkodą dla własnego życia i zdrowia. Jesteśmy niewdzięczni narzekając na nie i przeganiając. Zresztą to właśnie człowiek przyczynił się do tego, że w miastach jest ich tak wiele. Kiedy poczta zaczęła być dostarczana innymi środkami, gołębie były już niepotrzebne. Wiele zostało wypuszczonych i jako że były przyzwyczajone do ludzi, zaczęły osiedlać się blisko nich, w miastach. Z początku ludzie z sentymentu dobrze je traktowali, dokarmiali, ratowali, jednak z czasem wartość gołębi została zapomniana i stały się jedynie przeszkadzającym elementem krajobrazu. Dlaczego zapomnieliśmy, jak bardzo te zwierzęta są mądre, jak doskonale potrafią się przystosować do warunków, w których nagle się znajdą? Dlaczego nie dostrzegamy, że to w nas jest błąd, a one nie są niczemu winne? To my porzuciliśmy je. Gołębie jedynie chcą przetrwać.

Świat ptaków otacza nas niezmiennie od wieków. Pierzaste istoty są obiektem zainteresowań artystów, pojawiają się na obrazach, w sztuce słowa, muzyce, rzeźbie. Stanowią obiekty badań fizyków, przyrodników, filozofów. Są uznawane za istoty bliższe niebu, wcielenie duszy, boskich pośredników. Symbolizują nieograniczoną wolność i radość życia. Niektóre konkretne gatunki kojarzą się z różnymi cechami – sowa z mądrością, papuga ze ślepym naśladownictwem, ptactwo domowe z ładem i porządkiem. W kulturze ludowej sowy uważa się za wcielenia dusz ludzkich i zły omen zwiastujący nieszczęście (co niegdyś przyczyniało się do masowego ich wybijania), natomiast tego, kto usłyszy krzyk lelka, czeka niechybna śmierć. Bocian jest symbolem życia i odradzającej się natury, a z ilości „kuknięć" kukułki można wywróżyć liczbę lat pozostałych do śmierci.

Dlaczego aktualnie, mimo wielu nawiązań do ptaków w rozmaitych dziedzinach życia, nie zauważamy ich w naszym otoczeniu? Czym są dla nas teraz? Czym staną się później? Kto wie?

Halina Jerulank

Co mnie urzekło

Wróciłam bo zapomniałam telefonu
Mój ostatni pociąg do domu odjechał
Zostałam na noc u ciebie do dzisiaj
I nie żałuję że tu zamieszkałam

Zaczarowały mnie wąskie uliczki
Zieleń co zewsząd się wylewa
Kamieniczki na starym mieście i Bachus
Widok z palmiarni na winnice

Najpierw urzekły mnie twoje oczy
Takie zielone jak wszystko dookoła
I w końcu miasto w którym mieszkałeś
I które teraz stało się też moje

Coraz wolniej

Wolniej rano idziesz po chleb i gazety
Wolniej ze sklepu chodnikiem
Chwilami patrzysz na krzewy jaśminu
Którym już czas zakwitnąć

Czyja to wina że oddech
Nie potrafi jak dawniej
Podołać codziennej bieganinie
Sto razy cięższej niż dzisiaj

Zielona Góra

Baśnią jest ta kraina winorośli
Jak miód słodka wytrawna jak wino
Ma tajemniczy urok ziemi i wiatru
I klimat zatroskanej opowieści
Tutaj warto zamieszkać
Przemierzać uliczki pełne czasu
starych kamieniczek i znaków wina
podziwiać ogrody parki i ciche winnice
szlakiem bachusików iść przed siebie
Posłuchać hejnału z ratuszowej wieży
Karmić na rynku gromadne gołębie
Dawniej tu można było spotkać szambelana
dzisiaj pełno młodzieży i studentów
Z palmiarni podziwiać panoramę miasta
wieże kościołów wdzierające się w niebo
i w każdej uliczce mieć coś dla siebie
odkrywając nie odkryte jeszcze tajemnice

W winnicach obrodziły winne grona

Zielone winnice na wzgórzach
Dookoła lasy parki i skwery
Kolorowe kwiaty w donicach
Hulajnogi rowery i elektryczne autobusy
Oddychamy czystym powietrzem

W winnicach obrodziły winne grona
Jeszcze chwila i będą do końca zebrane
Piękna winiarka dźwiga ciężkie kosze
aromaty się wszędzie unoszą
Opilec Bachus gładzi się po brzuchu
czekając na trunki które mu przyniosą
W winnicach już zbiory

Myślisz, że...

Myślisz, że tak łatwo pisać o ulicach
Nowych osiedlach z placami zabaw
O starych kamienicach na rynku miasta
Okalających miejski ratusz

Myślisz, że tak łatwo opowiadać o ludziach
Którzy tu mieszkali, tworzyli, sławili
O tych, co dzisiaj zapisują się na kartach
lokalnej i nie tylko historii

Myślisz, że tak łatwo opisywać piękno
Miejsca przyjaźni, która tu się rodzi
Zielone winnice na wzgórzach-symbol miasta
To trzeba samemu zobaczyć i poczuć

rys. Izabela Sak

Marta Ruszczyńska

Powrót Odyski

Powieść Aldony Reich „Ziemia Odzyskana" została opublikowana w roku 2023 w wydawnictwie Vectra, ale wcześniej znana już była czytelnikom „Gazety Lubuskiej", gdyż ukazywała się na jej łamach w odcinkach.

Autorka ma w swoim dorobku kilka powieści kryminalnych i obyczajowych, a wspomniana pozycja wpisuje się w obręb tych drugich, choć również w jej fabule obecny jest wątek kryminalny.

Bohaterką powieści jest Marta Rychter, kobieta po traumatycznych przejściach związanych z tragiczną śmiercią ojca oraz z dojmującym poczuciem winy za spowodowanie wypadku. Aczkolwiek sama niczego nie pamięta z tamtych wydarzeń, w których zginał jej ojciec. Marta po tym wszystkim wyjeżdża z Polski, pragnąc zapomnieć i symbolicznie odciąć się od tej dramatycznej historii, pracując i mieszkając w Wielkiej Brytanii. Poznajemy ją wówczas, gdy wraca do Zielonej Góry po wielu latach rozłąki, która niczego z pamięci nie wymazała, tyle tylko, że złagodziła nieco traumę, gdyż jak wiadomo czas leczy rany. I Marta próbuje ułożyć sobie życie w rodzinnym mieście, a przede wszystkim zrozumieć tamten tragiczny w skutkach dzień, mając nadzieję na odzyskanie pamięci, a co za tym idzie także na odbudowanie własnego życia w rodzinnym mieście. Wspomniane wydarzenia są najważniejsze w biografii Marty, gdybyśmy próbowali ją streścić. Ponadto bohaterka zmaga się z problemami natury psychicznej, cierpiąc na amnezję psychogenną, co w jej przypadku przekłada się na luki w pamięci, a dotyczą one właśnie owych tragicznych w skutkach wydarzeń, kiedy rzekomo prowadziła samochód. Jednakże „Ziemia odzyskana" jest przede wszystkim powieścią obyczajową w wersji popularnej, w której Aldona Reich sięga po sprawdzone wzorce fabularne, że wymienię choćby najbardziej znane, pióra amerykańskiej pisarki Danielle Steel („Powrót do domu"). U tej autorki bohaterką jest zazwyczaj piękna i dzielna kobieta, która musi zmierzyć się z własną przeszłością, również z historią własnej rodziny i jej tajemnicami, pokonać liczne przeszkody, a dodatkową gratyfikacją jest właśnie miłość jako happy end.

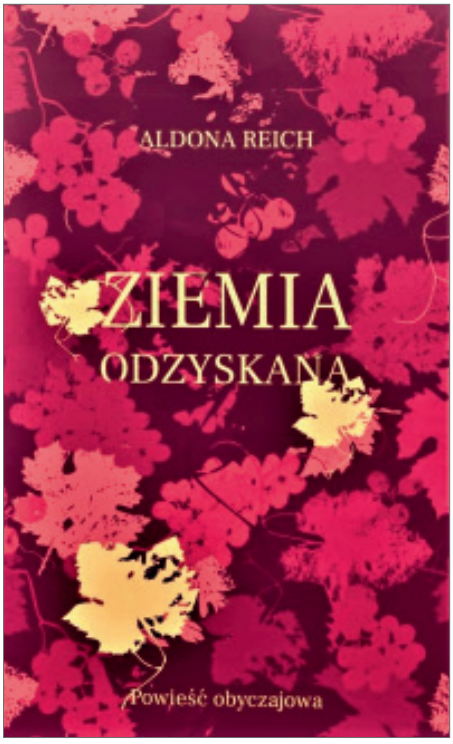

Aldona Reich, „Ziemia odzyskana", Czerwonka-Leszczyny 2023, wyd. Vectra, 328 s.

Tego rodzaju „narracje powrotu" są dość popularne i szerzej znane jako opowieść leżąca u podstaw początków powieści, także w jej wersji epickiej. Na myśl przychodzi od razu archetypiczna historia Odysa, który powraca po dziesięciu latach wojny i równie tyle lat trwającej tułaczki, wypełnionej wieloma przeszkodami, które bohater musi pokonać, aby wrócić do rodzinnej Itaki, próbując ten dawno pozostawiony przez siebie świat na nowo odzyskać. Podobnie jest z emigrantką Martą wracającą do rodzinnego miasta, z którego dwadzieścia lat temu wyjechała, gdyż musi ona uporządkować własne relacje rodzinne, a niektóre nawet uzdrowić; jednak nie za pomocą siły i przemocy jak zrobiłby to Odys. I na tym między innymi polega różnica tych kobiecych „narracji powrotu". Bohaterka postanawia również zmierzyć się z przeszłością, co nie jest łatwe, gdyż przed tym wszystkim próbowała uciec, wyjeżdżając z kraju. I tu znowu lubuska autorka sięga po sprawdzone chwyty literatury popularnej, a do takowych należy miłość, dzięki której bohaterka na nowo odkrywa rodzinne miasto, konfrontując go z obrazem z czasów swojej młodości. I to właśnie w sposobach kreowania przestrzeni widziałabym największą słabość tej powieści dedykowanej, jak czytamy, Lubuszanom i zgodnie z zapowiedziami mającej być również opowieścią o Zielonej Górze. Z tego zadania autorka wywiązuje się średnio, gdyż krajobraz miasta przypomina znane wszystkim konwencjonalne widokówki z winobraniowymi opisami włącznie, a określenia w rodzaju „kameralne miasto" niczego nowego nie odkrywają. Zresztą może to, co zostało nakreślone jako miejska mapa, w obrębie której istnieje świat przedstawiony, byłoby wystarczające, gdyby nie wpisany w kompozycję kalendarz sygnujący poszczególne rozdziały książki, począwszy od września aż do czerwca następnego roku. Pamiętając o tym, iż miasto bywało opisywane jako ogród i wyspa wśród lasów, a wiele z jego ulic na przełomie wiosny i lata urzeka zapachem drzew, to jest to, jak sądzę, trochę za mało. Tych kluczy do rodzinnego miasta autorka chyba nie odnalazła i krajobraz Zielonej Góry przedstawia się ledwie jako skromne tło. Natomiast „Ziemię odzyskaną" czytaną jako powieść obyczajową, należałoby zaliczyć do interesujących prób zmierzenia się z trudną materią powrotów, również w sensie psychologicznym. Bo przecież bohaterka powieści, podobnie jak Odys, po dwudziestu latach emigracji wraca do swojej rodzinnej Itaki, którą w końcu na nowo spróbuje dla siebie odzyskać.

Robert Rudiak

Rozmowa poetki z sobą

Miniatury poetyckie Joanny Marcinkowskiej posiadają formę intelektualnego zapisu wewnętrznej, duchowej i psychologicznej rozmowy poetki z sobą, własną złożonością psychiki, doznaniami i emocjami. Jej świat i jego obrazowanie potrafią zarazem wchłonąć i zauroczyć.

Joanna Marcinkowska to wszechstronna artystka urodzona pod Jelenią Górą w Górach Izerskich. Obok poezji zajmuje się też fotografiką, muzyką i teatrem. Uwielbia fotografować góry, a wystawa jej zdjęć miała miejsce w 2021 roku w zielonogórskiej mediatece. Gra też na gitarze i komponuje muzykę oraz zajmuje się prowadzeniem grup teatralnych. Na Uniwersytecie Zielonogórskim ukończyła studia licencjackie z polonistyki, a następnie magisterskie z teatrologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Związała się z Krakowem na 11 lat, ale ostatnie dwa ponownie spędza w Winnym Grodzie, gdzie pracuje w Lubuskim Teatrze. Również w 2021 r. debiutowała tomem wierszy „Czarne motyle". Pod koniec lata 2023 r. w zielonogórskiej książnicy Norwida poetka promowała drugi zbiór swoich liryków „Przemilczenia". Zamieściła w nim 60 utworów pogrupowanych w dwóch częściach – „Biała miłość" i „Doskonały świat", a całość uzupełnia i zamyka zarazem tryptyk o Jeleniej Górze.

Jaki jest zatem świat poetycki kreowany i... „przemilczany" przez Joannę Marcinkowską? Jak sama przyznaje – tworzy wyłącznie, kiedy dopadają ją emocje, dodajmy, zwykle negatywne – gniew, złość, niemoc, rozdarcie, ból, przygnębienie. Ale towarzyszy temu melancholia, refleksja, zastanowienie nad własnym losem, życiem drugiej osoby, otoczeniem. Bliskie jej emocjom są wówczas zawieszenia frazy i przemilczenia, a ważniejsze zdaje się jest to, co jest „pomiędzy", czyli słowami.

Podmiot liryczny w tekście „Porozumienie" wypowiada swoją prawdę, która brzmi niczym autorskie credo: „przecież słowa nie znaczą / ale to / co pomiędzy nimi". Właśnie owe skróty myślowe stanowią pewnego rodzaju kwintesencję w poezjowaniu Marcinkowskiej, kiedy między pierwszą a ostatnią strofą buduje olbrzymie, rozległe pole imaginacyjno-semantyczne, w którym werbalizuje uczucia, emocje, wyobrażenia i pragnienia. Stąd musi między nimi budować odpowiedni pomost, aby w lapidarny sposób wyrazić maksimum pojęć na określenie przeżyć i stanów ekscytacji. A to niełatwe zadanie. Trzeba świetnie operować skrótowością przekazu, jego formą znaczeniową, odpowiednio dobranym leksemem, a poetka jest przy tym niezwykle oszczędna w słowach. Zwykle jej utwór to od trzech do sześciu strof, zwykle dwu – lub trzywersowych. Stąd jeden jej wiersz składa się z 20-30 słów i zawrzeć w nich opis wielu stanów psychiczno-emocjonalnych nie jest proste. Potrzeba do tego i erudycji, i dobrego przygotowania warsztatowego, ale przede wszystkim też wysublimowanej poetyckiej wyobraźni. Na tym gruncie poeta czuje się jednak świetnie. W wierszu „Trwanie" filozoficznie oznajmi, że „pochłaniamy czas / niegotowi na szybkość rzeczy",

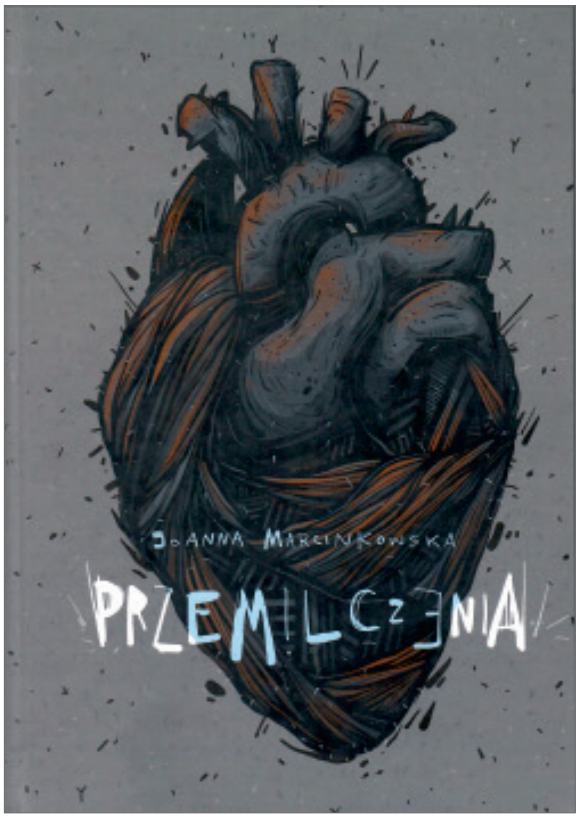

Joanna Marcinkowska, „Przemilczenia", [brak miejsca wydania] 2023, wyd. Ridero, 82 s.

w „Spojrzeniach" doda, że *„na języku / wciąż czujemy smak / polizanego raju"*, a w „Przemilczeniach" dopowie: „jeśli dziś łykam światło / ciągle zapominam / że jutra może nie być".

W świecie poetyckim Joanny Marcinkowskiej dochodzi do głosu też specyficzny, acz subtelny i zmysłowy dialog miłosny między kobietą a ukochanym. Niekiedy poetka zamienia podmiot liryczny w rodzaj męski, ale to nie zmienia samej narracji i psychologicznego dyskursu prowadzonego między bohaterami. Patrzy na kobietę i jej uczucia oczami mężczyzny, co tylko pozwala głębiej wniknąć w sferę psychiki piszącego. Czego zatem obawia się podmiot? Boi się rozstań, gdyż te postrzega jako próżnię, boi się niezrozumienia, gdyż to oznacza samotność w związku, boi się odrzucenia, gdyż to oznacza osobisty upadek i uczuciową klęskę. Dlatego podmiot jej wiersza „Porozumienie" wypowiada znamienne słowa: „wzruszam się / na myśl o twoich dłoniach / bądź przy mnie", w utworze „Czułość" mówi z kolei: „chodź ze mną / skąd nie wrócimy nigdy". Adoracyjna polemika w pełni pobrzmiewa również w lirykach „Opiekun" i „Huba".

Miniatury poetyckie Marcinkowskiej posiadają formę intelektualnego zapisu wewnętrznej, duchowej i psychologicznej rozmowy poetki z sobą, własną złożonością psychiki, doznaniami i emocjami. Jej świat i jego obrazowanie potrafią zarazem wchłonąć i zauroczyć.

Książka zasługuje także na uwagę ze względów ilustracyjnych i edytorskich. Okładkę i wnętrze jej urozmaiciły grafiki Biosme x Brocki, współczesnego, awangardowego artysty z Karkonoszy, malującego obrazy akrylem i sprayem oraz tworzącego przestrzenne formy ilustracyjne, grafitti i murale. Barwne, często niepokojące w swojej wymowie ryciny korelują z tekstami autorskimi, w których z kolei dominują zagadkowość, lakoniczność i abstrakt.

Dokumenty z dalekiej i bliskiej przeszłości

Do obchodów 800-lecia miasta i 700-lecia nadania praw miejskich włączyło się zielonogórskie Archiwum Państwowe. Pracownicy tej instytucji przygotowali dwa albumy. Oba powinny zainteresować przede wszystkim tzw. zwyczajnych mieszkańców Zielonej Góry.

„Regesta fontium Grünbergensium" otwiera tekst dotyczący zarysu dziejów Zielonej Góry. Zostały w nim podane najważniejsze wiadomości z historii Winnego Grodu. Dowiadujemy się, że „W zachowanych źródłach pisanych po raz pierwszy wymienia się Zieloną Górę w dokumencie z 1302 r." Autor uważa, że „już wówczas miała cechy miasta, ale jej początków, jako osady, należy upatrywać co najmniej pół wieku wcześniej. (...) Niemniej jednak Zielona Góra stała się lokalnym centrum administracyjnym władzy świeckiej (siedziba dystryktu a później weichbildu) i władzy kościelnej (parafia i siedziba archiprezbiteriatu) dopiero za czasów zmarłego w 1309 r. księcia głogowskiego Henryka II". Autorzy albumu omówili 60 dokumentów z przeszłości miasta. Prezentację otwiera akt pana na Wilkanowie Hansa Selstranga dla Paula Schulthisa wystawiony w Grünbergu (Zielonej Górze) 10 lutego 1382 r., sporządzony w języku niemieckim na pergaminie. Jest w nim mowa o tym, że Hans Seelstrang (Selstang), pan na Wilkanowie (Witchinow), za radą swego zięcia Nickola von Lockowa, zapisuje sołtysostwo w Wilkanowie z sądownictwem, piwiarnią, piekarnią etc., swojemu służącemu Paulowi Schulthisowi, jego małżonce Angete i ich potomnym i spadkobiercom za roczny czynsz w kwocie półtorej grzywny czeskiej monety polskiej rachuby. Są wymienieni świadkowie tego wydarzenia. Autorzy albumu podają tytuły prac, w których był przywoływany ten akt. Do ciekawszych z punktu widzenia współczesnego zielonogórzanina należy dokument króla Polski Władysława IV Wazy dla władz miasta Zielona Góra z 1641 r. spisany po polsku. Własnoręcznym podpisem król występuje przeciwko „nieprawnemu kasowaniu towarów kupcom z miasta Zielona Góra (Zielono Gora) w Księstwie Głogowskim, przez urzędników polskich pobierających cła i myta". Król znosi wszelkie przepisy utrudniające swobodny przepływ towarów między obu stronami. Publikację zamyka Księga kasowa cechu introligatorów i kuśnierzy z lat 1886-1903 prowadzona na papierze, zawierająca wykaz dochodów i wydatków. Przedstawione w tym albumie dokumenty pochodzą ze zbiorów zielonogórskiego Archiwum Państwowego, biblioteki Uniwersytetu Zielonogórskiego i Muzeum Ziemi Lubuskiej.

„Regesta fontium Grünbergensium", oprac. Tadeusz Dzwonkowski, Beata Grelewicz i Paweł Kalisz, Archiwum Państwowe, Zielona Góra 2022, 284 s.

Jak na ogrodach działkowych wyrastały wieżowce tworzące osiedla Przyjaźni, Łużyckie, Słoneczne, Pomorskie? Jak się prezentowała zabytkowa kamienica rozebrana dlatego, żeby miała gdzie biec al. Konstytucji 3 Maja? Jak wyglądały budyneczki przy dawnej Topolowej, zanim stała się ul. Bohaterów Westerplatte, na miejscu których stanął dom towarowy Centrum, urząd pocztowy, Empik, restauracja Topaz? Budynki po większości wymienionych instytucji już zajmują inni użytkownicy. Co było tam, gdzie są kampusy Uniwersytetu Zielonogórskiego? Jak budowano amfiteatr przy ul. Festiwalowej? Czy po Starym Rynku wtedy, kiedy był pl. Bohaterów Stalingradu i po al. Niepodległości jeździły samochody? Gdzie się znajdowała Ratuszowa? Gdzie Moda Polska? Gdzie Sportowiec? Odpowiedź na te pytania czytelnik znajdzie w albumie „Okiem Czesława Łuniewicza: Zielona Góra". 504 czarno-białe fotografie przedstawiają miasto od początku lat 60. do końca 80. XX wieku. Blisko 100 tys. zdjęć Cz. Łuniewicz przekazał do Archiwum Państwowego z zastrzeżeniem, że za ich udostępnianie ta instytucja nie będzie pobierała opłaty. Oddał także większość tego, co zgromadził w ostatniej swojej pracowni przy pl. Matejki 3. Co dokładnie przedstawiają fotografie, archiwiści wyjaśnią, gdy zakończą porządkowanie skarbnicy. Cz. Łuniewicz (1927-2014) był pierwszym zielonogórzaninem, który zdobył status artysty fotografika. Jego biografowie podają, że w 1954 r. skonstruował telewizor, który odbierał program telewizji berlińskiej. Z wykształcenia był traktorzystą, farmaceutą i inżynierem budownictwa. Ale większość życia spędził z aparatem fotograficznym w rękach. Zatrudniony w redakcji kultowego już „Nadodrza", zamieszczał swoje zdjęcia w dwutygodniku. Jako Jan Trzcina publikował akty. Sztuki fotografowania uczył młodzież w grupach Nadodrze i Łużyce. Do historii przeszedł nie tylko jako kronikarz Zielonej Góry, lecz i autor takich cykli: „Macierzyństwo", „Ontogeneza", „Moi współcześni", „Halina Lubicz i Michał Kaziów". Także uprawiał malarstwo. „Założeniem tego wydawnictwa było przedstawienie przemian w krajobrazie Zielonej Góry, przy jednoczesnej prezentacji bogatego i różnorodnego materiału źródłowego" – wyjaśnia dr Paweł Kalisz, autor opracowania.

AS

„Okiem Czesława Łuniewicza: Zielona Góra", oprac. Paweł Kalisz, Archiwum Państwowe, Zielona Góra 2023, 216 s.

Alfred Siatecki

Od jednodniówki do dwutygodnika

Legendarne czasopismo społeczno-kulturalne „Nadodrze" było obecne na rynku czytelniczym 33 lata, od 1957 do 1990 roku. Jego średni nakład nie przekraczał 12 tys. egzemplarzy.

Odwilż polityczna przyszła w październiku 1956 r. Od tego miesiąca zaczęły następować zmiany, z dzisiejszego punktu widzenia – niewielkie, ale wtedy naprawdę znaczące w wojewódzkiej Zielonej Górze. „Należy stworzyć odpowiednie warunki naukowcom i twórcom zamieszkującym nasze województwo: historykom, archeologom, etnografom, plastykom, młodym literatom, architektom, muzykom" – domagali się uczestnicy sejmiku kultury w lipcu 1957 r. podczas zebrania założycielskiego Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Trzy miesiące później, na Winobranie, ukazała się jednodniówka „Nadodrze". Redaktorem naczelnym został Tadeusz Jasiński. Współtwórca czasopisma Janusz Koniusz napisał: „Jasiński zawsze twierdził, że to on zaproponował, by pismu nadać tytuł »Nadodrze«. Tadeusz Kajan, który przyszedł do nas w początkach 1957 roku, że to on. Mnie się wydaje, że to ja. Myślę, że do tego pomysłu przyznałoby się jeszcze kilka osób".

W 1958 r. ukazały się cztery jednodniówki za pieniądze z Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej przeznaczane na zwalczanie klęsk żywiołowych. 1 kwietnia 1959 r. wyszedł pierwszy numer „Nadodrza" jako miesięcznika współwydawanego przez Robotniczą Spółdzielnię Wydawniczą „Prasa". Za trzy redakcyjne etaty, papier, druk i honoraria płaciło LTK. W stopce redakcyjnej widniała informacja, że „Nadodrze" jest organem LTK. Dopiero dwa lata później wszystkie koszty wydawnicze przejęła na siebie spółdzielnia Prasa, wydająca „Gazetę Zielonogórską". Od maja 1965 do końca 1968 r. pismo ukazywało się jako półmiesięcznik. Jako dwutygodnik zaczęło wychodzić od stycznia 1969 r. i taki cykl obowiązywał aż do jego likwidacji. Redakcja czyniła starania o wydawanie tygodnika, co było bliskie w 1982 r.

„Nadodrze" było regionalnym „pismem społeczno-kulturalnym". W rzeczywistości zajmowało się wszystkim, co działo się w województwie . Mocną stroną czasopisma była historia, szczególnie dotycząca przeszłości regionu, słabszą tematyka społeczna i gospodarcza. Do połowy lat osiemdziesiątych w każdym numerze ukazywały się informacje dotyczące obu republik niemieckich. Wielu autorów pochodziło spoza regionu, na przykład Eugeniusz Paukszta, Marian Brandys, Krzysztof Kąkolewski, Leszek Goliński, Jerzy Madejski, Feliks Fornalczyk. Wilhelm Szewczyk twierdził, że „Kontakt »Nadodrza« z terenem jest – że ograniczę się tylko do jego manifestacji na łamach pisma – mocną stroną periodyku". Łamy „Nadodrza" były otwarte dla twórców, szczególnie poetów i prozaików. Większość autorów lubuskich stawiających pierwsze kroki, debiutowało w „Nadodrzu". Każdą książkę literacką, naukową i popularną miejscowego autora pismo omawiało na swoich łamach, jak i każde wydarzenie kulturalne czy społeczne.

Czasopismo towarzyszyło niemal wszystkim akcjom podejmowanym na Środkowym Nadodrzu, np. „Lubuskiej drodze do uniwersytetu", wystawom i sympozjom Złotego Grona, Lubuskiemu Latu Filmowemu. Wspierało ruch regionalny i było wobec niego krytyczne. Na początku lat siedemdziesiątych, gdy ruch ten nabrał rutyny, Henryka Doboszowa wołała piórem „Nakręcić ten stary zegar".

Od 1962 r. „Nadodrze" przyznawało plakietkę Winiarki „za szczególne osiągnięcia dla rozwoju kultury i nauki polskiej na ziemi nadodrzańskiej w przeszłości lub po wyzwoleniu". Laureatami nagrody byli między innymi: archeolog Edward Dąbrowski, reżyser Marek Okopiński, historyk Władysław Korcz, aktor Stanisław Cynarski, prozaik Michał Kaziów, malarz Stefan Słocki, lekarz Lech Wierusz.

Do 1970 r. pismo było drukowane w Zielonogórskich Zakładach Graficznych, później na tych samych maszynach rotacyjnych, na których powstawała „Gazeta Zielonogórska" w drukarni Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego. W zasadzie ukazywało się na 16 stronach. Tylko główka (winieta) była kolorowa. Pierwszą winietę zaprojektował Klemens Felchnerowski, następną Leszek Hermanowicz. W 1957 r. jednodniówka wyszła w nakładzie 2 tys. egzemplarzy, w 1960 – 5 tys. (zwroty wynosiły 16,9 proc.), 1965 – 10,2 tys., 1972 – 12 tys. W latach siedemdziesiątych redakcja zabiegała o zwiększenie nakładu, uzasadniając wniosek niewielkimi zwrotami. Nie spotkało się to z pozytywną reakcją wydawcy, który argumentował to tym, że nawet zwiększenie nakładu do 20 tys. egzemplarzy nie zmieni sytuacji finansowej pisma. „Nadodrze" zawsze było deficytowe. W 1966 r. wydawnictwo dopłacało 1 mln zł. Podobne czasopisma wychodziły we wszystkich tzw. starych województwach. W 1966 r., kiedy nakład „Nadodrza" przekroczył 10 tys. egzemplarzy, dwutygodnik katowicki „Poglądy" miał nakład 8 tys., lubelska „Kamena" – 5,2 tys., bydgoskie „Pomorze" – 3 tys., wrocławska „Odra" – 4,3, gdańskie „Litery" – 3,6 tys., poznański „Nurt" – 3,3 tys.

„Nadodrze" ukazywało się głównie w województwie zielonogórskim (po utworzeniu 49 województw i w gorzowskim). Można było je kupić w kioskach Ruchu w dużych miastach w całym kraju.

Pierwszym redaktorem naczelnym był Tadeusz Jasiński (1957-1959), kolejni to: Bolesław Soliński, Witold Niedźwiecki(1976-1978), Tadeusz Kajan-Jankowski i Janusz Koniusz (1980-1990).

Periodyk przestał się ukazywać wraz z likwidacją Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego. Mimo że tytuł kupił wydawca „Gazety Lubuskiej", nie kontynuował wydawania pisma.

Sylwester Woźniak

Ocalić tradycję śpiewu białego

Obszar współczesnej Ziemi Lubuskiej i co za tym idzie, Zielonej Góry po 1945 roku zasiedlany był przez przybyszów z różnych obszarów przedwojennej Rzeczypospolitej. Przemieszanie tradycji, ale i również ciężka rzeczywistość Polski Ludowej, nie służyły podtrzymywaniu dawnych tradycji ludowych. Zasada ta dotyczyła również osób, które znały techniki śpiewu białego.

Śpiew biały to rodzaj maniery wykonywania ludowych utworów muzycznych charakterystycznej między innymi dla kultury białoruskiej, ukraińskiej oraz Polski. Jest to wręcz rodzaj autentycznego śpiewu, jaki występował i dalej często występuje na wsiach. Pieśni służyły przekazywaniu historii, tradycji i nawiązywaniu kontaktu z przyrodą. Śpiew stanowił przejście między światem żywych a umarłych, jednoczył przy zbieraniu plonów, ale i pomagał zaczarować przyrodę, aby te plony były obfite. Śpiew na wsiach obecny był przy każdym ważniejszym wydarzeniu, jak narodziny, wesele, śmierć czy też żniwa. Święta były tym okresem, kiedy to pieśni stawały się elementem obrzędowości. Pieśni były wesołe, żartobliwe, liryczne, żałobne. Dawniej nie było urządzeń zabierających czas, jak smartfony i internet. Z tego też względu pieśni odgrywały ogromną rolę społeczną.

W dużym uproszczeniu wykonywanie śpiewu białego polega na wykorzystaniu mocy głosu i mięśni przepony, czyli krzyku w linii melodycznej. Ta specyfika śpiewu zwana jest również śpiewokrzykiem. Tego rodzaju śpiew łączył się z obrzędowością mieszkańców dawnych Kresów Wschodnich. Osobne pieśni były przeznaczone na okres kolędowania, inne na okres wiosenny itp.

Działalność zielonogórskiej Grupy Drewno polega nie tylko na wykonywaniu oryginalnych pieśni w ich autentycznym brzemieniu, tym bardziej że każdy region posiada swoją specyfikę kulturalną. Na taki rodzaj działalności wskazuje chociażby coroczne kolędowanie w wybranej lubuskiej wsi w okresie bożonarodzeniowym. Grupa w swoim repertuarze posiada pieśni m.in. ukraińskie, białoruskie i bałkańskie, jak i oczywiście polskie. Jak zaznaczają sami wykonawcy, starają się, aby odtwarzać pieśni w sposób jak najbardziej zbliżony do oryginału. W większości wykonywane utwory pochodzą z okresu od początków XVIII do końca XIX stulecia. Zachowanie oryginalnego brzmienia nie jest zadaniem łatwym, ale dążenie do tego stanowi największy walor zespołu. Grupa kilkukrotnie reprezentowała region lubuski na międzynarodowych festiwalach muzyki folklorystycznej. W listopadzie 2022 r. brała udział w Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym „Pokrowskie dzwony" w Wilnie, gdzie bardzo wysoko oceniono kunszt zielonogórskich artystów.

Zespół powstał w październiku 2009 r. w trakcie warsztatów śpiewu białego prowadzonego przez Fundację OVO dla Kultury i Edukacji. Jego nazwa stanowi nawiązanie do jednej z najbardziej znanych i najstarszych grup śpiewu białego, czyli kijowskiego zespołu Drevo, który może poszczycić się ogromnym dorobkiem wydawniczym. Grupa Drewno tworzona jest przez dziesięć osób, w tym tylko przez dwóch mężczyzn. Nierówny podział płci powoduje, że mogą powstać pewne ograniczenia w wykonywaniu pieśni, gdzie potrzeba więcej męskich głosów. Obecnie grupa to: Honorata Domagała, Dominik Doliński, Anna Grygoruk, Małgorzata Korzeniowska, Ewa Lewandowska, Marta Olborska, Barbara Sibila, Alicja Szafran, Anna Szczęsna-Szeib i Artur Wiszniewski.

Koncert Grupy Drewno w zielonogórskiej cerkwi grekokatolickiej pw. Matki Bożej Opieki *fot. Archiwum Grupy Drewno*

Technika śpiewu białego nie należy do łatwych i z tego też powodu zespół korzysta z pomocy profesjonalnych nauczycieli. Pochodzą oni z krajów, gdzie rozwijała się kultura tego rodzaju pieśni. Obok Polaków są również Białorusini, Ukraińcy, ale również osoby z krajów bałtyckich i Bałkanów. Jak przyznają sami artyści, nie zamierzają wydać płyty, jednak zależy im na nagraniu teledysku. Chcą wykorzystać tę formę ekspresji do szerszego zaprezentowania tradycji śpiewu białego. Obecnie jedyną możliwością poznania dorobku zespołu

jest korzystanie z nagrań publikowanych w jednym z najpopularniejszych serwisów internetowych umożliwiających odtwarzanie nagrań.

Od 2009 r. Grupa Drewno niespostrzeżenie stała się ważnym elementem życia kulturalnego Zielonej Góry. Jednym z najlepszych miejsc, gdzie można posłuchać pieśni w wykonaniu artystów, jest Muzeum Etnograficzne w Zielonej Górze – Ochli. Wiąże się to nie tylko z zakresem działalności zespołu, ale również z tym, że często są tam organizowane duże plenerowe imprezy, jak np. Noc z Gwiazdami czy Święto Miodu. Dobrymi okazjami do posłuchania śpiewu białego są uroczystości związane z słowiańskim świętem Nocy Kupały. Oprócz tego grupa prezentuje wschodniosłowiańskie kolędy w zielonogórskiej cerkwi greckokatolickiej przy ul. Boduena, w dawnej winiarni Briegera. Zresztą to nie jedyne związki grupy z winiarskim dziedzictwem Zielonej Góry. Zespół prezentował swoje umiejętności w czasie II Festiwalu Otwartych Piwnic i Winnic na początku maja 2022 r. Wówczas to wystąpił w najstarszej piwnicy winiarskiej przy ul. Wodnej. Z całą pewnością cechy architektoniczne oraz surowość zabytkowej piwnicy doskonale oddawały walory akustyczne wykonywanych utworów. Dodatkowo występ miał ważne walory symboliczne. Polegały one na łączeniu dziedzictwa dawnego Grünbergu z kulturą, jaką przywieźli polscy osadnicy, którzy przybywali tutaj od 1945 r. Tym samym symboliczne stało się ukazanie tożsamości współczesnej Ziemi Lubuskiej. Związek „drewniaków" z winiarstwem jest możliwy przede wszystkim przez Małgorzatę Korzeniowską, której mąż w Zaborze prowadzi winnicę Międzypole.

Grupa Drewno często występuje w bibliotekach oraz w innych miejscach odpowiedzialnych za życie kulturalne w regionie i w samej Zielonej Górze. Według jednej z artystek działalność grupy ma wielkie znaczenie społeczne. Świadczyć o tym miało to, że po koncertach przechodziły do nich mocno wzruszone osoby i mówiły, że słyszane pieśni przypominały ich rodzinny dom, ten sprzed 1945 r. Zdarzali się również ludzie, którzy wspominali, jak śpiewała mama lub babcia. Właśnie tego typu relacje dla członków zespołu są najważniejszymi chwilami w ich twórczości. Świadczą o tym, jak ważną pełnią oni rolę w lokalnej społeczności.

Działalność grupy odgrywa ważną rolę na kulturalnej mapie Winnego Grodu i całego lubuskiego regionu. Ocala od zapomnienia sztukę wykonywania pieśni w oparciu o manierę archaiczną. Pieśni te należały do obrzędowości m.in. Kresowiaków oraz Białorusinów i Ukraińców, którzy przecież mieszkają w naszym regionie.

Pieśni opublikowane w internecie

„Powiedz mi moja córuś"
https://www.youtube.com/watch?v=SZ4slXS8wmQ

„Bóg Wam zapłać gospodarzu",
https://www.youtube.com/watch?v=bPIKWM8Y7Oc

„Oj da latieły gołupi",
https://www.youtube.com/watch?v=x1rMXI21N98

„Pada deszczyk",
https://www.youtube.com/watch?v=VowzkYN8Stw

Mam parę obwolut zakazanych

ROZMOWA Z ANDRZEJEM NAWROCKIM, KOLEKCJONEREM OKŁADEK PŁYT

– Jest Pan jednym z najbardziej rozpoznawalnych dziennikarzy, którzy prezentowali muzykę na antenie Radia Zachód i potrafili o niej godzinami rozmawiać ze słuchaczami. Od mniej więcej dekady można też spotkać Pana w lubuskich galeriach, gdzie pokazywane są okładki płyt pochodzące z Pańskiego zbioru, układane w sekwencji tematycznej. Jak to się zaczęło?

– Pierwsze było zainteresowanie muzyką, kolekcjonowanie płyt, które z czasem przełożyło się na zainteresowanie okładkami i dokonywanie zakupów tylko pod katem ich wartości graficznej.

– Proszę to rozwinąć.

– Już jako dzieciak kupowałem pocztówki dźwiękowe. Wszyscy wtedy marzyliśmy o prawdziwych płytach The Beatles czy The Rolling Stones, ale wiadomo... W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych były one dla nas nieosiągalne i na dodatek drogie. Dwa pierwsze czarne krążki dostałem od mamy jako prezent za zdanie matury. Pojechałem z nimi na studia i słuchałem w nieskończoność. Zresztą słuchałem nie tylko tego, co było na nich, kupowałem kolejne. Byłem zachwycony muzyką i jej nowymi obszarami. Kompakt to kolejne odkrycie – nie drapał, nie skakał, pozwalał na idealne odtwarzanie dźwięku. Niestety odczułem też pewien niedosyt – warstwa graficzna płyty, czyli okładka stała się malutka. Dziś jest jeszcze gorzej. Nagrania ściąga się z sieci, a zapis muzyki ma formę pliku. Nie ma czaru otwierania płyty, jej oglądania, rozkładania, odkrywania różnych tajemnic. Jakie to było przeżycie.

– Z czasem płyty analogowe odeszły w kąt, ale Pan ze swoimi nie chciał się rozstawać. Wręcz przeciwnie, zaczął się nowy etap ich kupowania. Co za tym stało?

– W latach dziewięćdziesiątych znalazłem w internecie portal, gdzie ludzie ustawiają zestawy płyt pod kątem ich okładek. Była tam również kategoria „najgorsze". To one mnie zaintrygowały, bo były pod pewnym względem najciekawsze. I tak zacząłem ponownie kupować płyty analogowe i układać, stosując różne klucze (motywy, hasła). Znajomość muzyki pozwoliła mi na to, by znaleźć coś ciekawego w tym zestawie. Wiele z nich kupiłem, zupełnie nie znając wykonawcy. Tylko dla okładki. I zacząłem właśnie iść w tym kierunku.

– Na niektórych znajdują się autografy. Sam je Pan zdobywał?

– Po transformacji ustrojowej pojawiła się możliwość wyjazdów na koncerty i spotykania się z artystami. Początkowo była to Praga, a później już u nas Dolina Charlotty pod Słupskiem. Tam na Festiwalu Legend Rocka byłem akredytowany. Stąd też okładki z autografami Johna Mayala, muzyków Deep Purple czy Jet Rotal.

fot. Alicja Błażyńska

Andrzej Nawrocki – dziennikarz specjalizujący się w tematyce muzycznej, związany z Radiem Zachód, gdzie prowadził audycje kulturalne i informacyjne.

– Gdzie Pan szukał tych starych płyt, gdzie je kupował?
– Płyty analogowe, chociaż odeszły w kąt, można było kupić już po dużo niższych cenach na giełdach czy w niemieckich sklepach.

– To ile płyt ma Pan?
– Nazbierało się. Jestem zodiakalnym bliźniakiem, więc jak w coś wchodzę, to tak trochę bez opamiętania. Mam około tysiąca płyt. Część trzymam w pracy, część w domu. Szczerze mówiąc, musiałbym zrobić jakąś segregację, bo nie mam żadnego spisu. Mam jeszcze drugie tyle płyt CD. Ale jak ktoś mi zacznie porządek robić, to się już nie połapię. Wie pani, facet, który ma lekki chaos, bałagan, wszystko wie. A jak w to wszystko wejdzie ktoś inny i powie, że pomoże i zrobi porządek, to jest dopiero bałagan.

– Po pewnym czasie zrodziła się chęć prezentowania swojego zbioru innym…
– Pomyślałem, że przecież mogę pokazać okładki płyt w moim radiu, gdzie była nieduża powierzchnia wystawiennicza. Zacząłem z wysokiej półki. Pierwsza wystawa składała się z obwolut zaprojektowanych przez Andy Warhola. Te najbardziej znane to płyta z portretami czy z zamkiem rozporka wklejonym w okładkę płyty u Rolling Stonesów. Kolejnymi tematami wystaw były czerwone usta, byki, gazeta, krowy, motocykle, sportowcy, a w okresie pandemii – maski. Rocznie organizowałem około czterech, pięciu wystaw nie tylko w rozgłośni. Do każdej z nich musiałem coś dokupić i tak się to nadal poszerza. Fajne sytuacje się zdarzały. Ludzie mi pomagali w aranżacji, ktoś przyniósł dmuchaną krowę, ktoś inny motocykl.

– Najstarszy i najcenniejszy eksponat w Pana zbiorze?
– Najstarsza płyta pochodzi chyba z lat dwudziestych. Kupiłem kiedyś zestaw niemieckich płyt szelakowych, do odtwarzania na gramofonie, ale ich nie da się słuchać. Mam też kilka płyt, które mogę określić jako kolekcjonerskie tak zwane First Pressy, pochodzące z kraju, z którego jest zespół i będące pierwszym tłoczeniem danego albumu z matrycy matki. One na giełdach kosztują bardzo dużo. Ale jedynej, wybranej nie mam.

– Podczas wernisażu w zielonogórskim muzeum mówił Pan o okładkach wycofanych.
– Posiadam parę okładek, które nazywa się zakazanymi lub alternatywnymi. Te ostatnie szczególnie często pojawiały się w USA, gdzie wycofywano ze sprzedaży niektóre płyty, gdy te posiadały kontrowersyjne rozwiązania plastyczne. Na przykład Paul McCartney na płycie „Abbey Roud" trzymał papierosa w ustach, co okazało się niepoprawne, bo nie powinno się promować palenia. Podobnie zaczyna dziać się w Europie. Wchodzą nowe standardy i np. niektóre sceny z kultowego Monty Pytona są dziś wycinane.

– Jakie będą tematy kolejnych wystaw?
– Kilka tematów chodzi mi po głowie: przerobione dzieła sztuki, gołe plecy, spodnie albo akcesoria łazienkowe: wanna, kibelek. Marzą mi się też polskie ślady na okładkach. Na okładce zespołu angielskiego znalazł się kadr z filmu „Matka Joanna od aniołów", a na innej zdjęcie Zdzisława Krzyszkowiaka (red. biegacz długodystansowy, mistrz olimpijsk z Rzymu w 1960 r.). A gdy już jesteśmy przy polonikach, to chciałbym powiedzieć parę słów o naszych grafikach, których okładki zasłynęły w świecie. Rosław Szaybo tworzył okładki dla Eltona Johna, Judas Priest czy Janis Joplin. Stanisław Zagórski był autorem okładek dla Milesa Daviesa, Arethy Franklin, Otisa Reddinga czy Duke'a Ellingtona. Marek Karewicz stworzył serię Polish Jazz czy kultową zespołu Brekaut.

– Dziękuję za rozmowę.

Alicja Błażyńska

Sylwester Woźniak
Tomasz Kowalski

Zagłębie kabaretowe jest kobietą

Czytając opracowania na temat przeszłości Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego można odnieść fałszywe przekonanie, że działają w nim jedynie mężczyźni i co najwyżej Joanna Kołaczkowska. Tak naprawdę trudno nie wspomnieć o roli dziewczyn w budowaniu potencjału zielonogórskich kabaretów.

Zaangażowanie pań sięga początków ZZK. Zacznijmy od Ewy Sopielewskiej, która była członkinią pierwszego składu kabaretu Potem. W środowisku klubu studenckiego Gęba była lepiej znana jako „Gruba", co nie było traktowane jako coś krzywdzącego lub prześmiewczego. Ewa miała tzw. twarz lutczynowską, która ułatwiała jej grę sceniczną. Edward Lutczyn był rysownikiem satyrycznym, którego prace przedstawiały postaci o wydatnych nosach, policzkach i o łobuzerskim wyrazie twarzy. Ewa dodatkowo słynęła z niesamowitej elastyczności ruchów ciała i mimiki. Poza tym miała bardzo silny charakter i jako jedna z niewielu osób potrafiła sprzeciwić się Władkowi Sikorze. Z tego powodu czasem dochodziło między nimi do kłótni i to nawet z użyciem ciętych sformułowań (np. „Ty psychologu pier…y!"). „Gruba" mieszkała w pokoju 101 w tzw. Małym Akademiku, czyli Vicewersalu. Obecnie znajduje się tam garderoba Gęby. Ewa mieszkała sama, ale prowadziła otwarty dom. Odbywały się tam próby i niekiedy imprezy. Można też było po prostu do niej przyjść i pogadać. W składzie kabaretu Potem była od 1984 do 1988 roku, czyli do pierwszego zawieszenia działalności grupy. Wprawdzie o Ewce nie wspomina się często, gdyż została całkowicie przysłonięta przez Asię Kołaczkowską, jednak należy uznać, że przetarła wszelkie szlaki dziewczynom w zielonogórskich kabaretach. Obecnie prawdopodobnie mieszka w Anglii.

O tym, jak ważną osobą dla rozwoju ZZK była Joanna Kołaczkowska, pisaliśmy w poprzednim numerze „NW" („Prymuska polskiego kabaretu", str. 24-25).

Formacją, która obecnie najbardziej kojarzy się z kobietami, jest kabaret Szum. Jego pomysłodawcą i założycielem był W. Sikora, który szukał dziewczyn do realizacji koncepcji antykabaretu, odwrotności znanej krakowskiej grupy Quasimęski Kabaret Rafała Kmity. Przede wszystkim już sama pełna nazwa zielonogórskiego zespołu brzmiała Quasimęski Kabaret Szum. Grupa Kmity znana była z doskonałego przygotowania swoich występów, dbano o każdy detal, uważano, aby co do sekundy przewidzianej w scenariuszach wypowiadane były odpowiednie kwestie lub wydawane dźwięki. W Szumie zaś było wiele spontaniczności, czasami nawet improwizacji. Dodatkowo miało być głośno i często parodiowano skecze kabaretu Kmity. W skład Szumu wchodziła Anna Osińska, ksywa „Siara", rozpoznawalna ze swoich rudych kręconych włosów. Liderką grupy była Marta Listwan, niezwykle przebojowa na scenie. Charakterystyczną osobą z wyglądu była Justyna Kunke, wyjątkowo wysoka. Obok nich występowały: Aneta Bryś, Gosia Szapował (znana jako „Szakołak" albo „Szapo-ba") i Magda Mikołajczak („Wronka"). Ta ostania obecnie znana jest z prowadzonego przez siebie bloga „Matko Jedyna", który ma wielu fanów. Tymczasowo w składzie występowały też Dorota Halama i Agnieszka Litwin. Należy podkreślić, że każda z dziewczyn miała inny charakter i uzupełniały się nawzajem. To oczywiście była wybuchowa mieszanka, która na scenie bardzo dobrze się sprawdziła, dzięki temu Szum otrzymał wiele różnych nagród. Jego działalność trwała od 1996 do 2006 r. Koniec nastąpił w sposób naturalny, ponieważ dziewczyny pozakładały rodziny lub wyjechały za granicę. Kontynuacją był kabaret Słoiczek po Cukrze. Należy przyznać, że wybrano wesołą nazwę, jak na zielonogórski skład przystało. Stworzyły go kobiety: Małgorzata Szapował i Magda Mleczak. One same żartowały, że nazwa wzięła się z tego, że są słodkie i puste.

Na scenie kabaret Szum – następca założonego w 1997 r. Quasi Męskiego Kabaretu Szum. Przestał istnieć w 2006 r. *fot. Wikipedia*

Duże znaczenie dla ZZK ma Gosia Czyżycka. Swoją karierę rozpoczęła w kabarecie Law Law Law. Właściwie nie chciała nigdzie występować i to jedynie przypadek sprawił, że znalazła się na scenie w Gębie. Szybko poczuła magię tego miejsca. Jej pierwszy występ od razu odniósł ogromny sukces. Od 1994 r. stale występuje w kabarecie Ciach, a od niedawna w spektaklu „Aniołki Bercika, czyli Hanke chce kochankę, gdzie obok popularnego Bercika", czyli Krzysztofa Hankego, grają też A. Litwin i Joanna Asia Dunas. Warto wspomnieć o A. Litwin, która od 1994 r. związana jest z kabaretem Jurki. Wcześniej pojawiała się jedynie okazjonalnie na scenie Gęby. Ze względu na mocne podobieństwo do młodej Maryli Rodowicz nazywana jest „Marylką". Zresztą jej pierwsze występy to były parodie piosenek artystki. Aga mocno zaangażowała się w nagrywanie filmików wytwórni A'YOY. Była także uczestniczką „Tańca z gwiazdami".

Pisząc o kobietach w kabarecie nie można zapomnieć o Babeczkach z Rodzynkiem. Nazwa tej grupy wzięła się od tego, że w zespole znalazło się kilka dziewczyn i jeden chłopak. Grupa została założona przez Bartka Klauzińskiego, popularnego „Barcisia". Oprócz niego występowały: Karolina Kuras („Mała"), Dagmara Piątek i Beata Małecka (o wiele lepiej znana jako „Żaba"). Okresowo pojawiały się również Agata Banach i Kamila Piasecka. Wielokrotnie formacja została doceniona za swoją twórczość. W 2005 r. otrzymała nagrodę prezydenta Poznania w postaci tortu z Cukierni Dębski, a w 2006 również, w mieście koziołków, buty Bohdana Smolenia (najprawdopodobniej używane). Do sukcesów należy zaliczyć nagrodę uzyskaną na krakowskiej Pace oraz zajęcie pierwszego miejsca i pierwszą nagrodę publiczności w Ełku na słynnej Mulatce. Bardzo charakterystyczną osobą jest „Żaba". Próbowała swoich sił jako aktorka w Lubuskim Teatrze w Zielonej Górze, gdzie brawurowo wystąpiła w spektaklu „Siostrunie". Zagrała również główną rolę damską w filmie „33 minuty w Zielonej Górze, czyli w połowie drogi", będącym adaptacją sztuki z XIX wieku autorstwa Karla von Holteia w tłumaczeniu Haliny Bohuty-Stąpel i reżyserii Tomka Łupaka. Obecnie „Żaba" jest DJ-ką, gra w Cafe Noir, w czym pomaga jej wielka energia, którą potrafi w sobie generować.

W składzie kabaretu Nowaki występuje Ada Borek. Sam zespół powstał w 2007 r. na bazie grupy Profil. Od samego początku poszukiwano do niej dziewczyny. Za namową Grzegorza Halamy do składu przyjęto Adę, ponieważ została przedstawiona jako osoba posiadająca „odwagę na scenie oraz rozwiniętą inteligencję cielesną".

Właściwie kobiet w kabaretach jest o wiele, wiele więcej. Trudno je wszystkie spamiętać, a co dopiero przedstawić. Wśród nich trzeba wymienić Kasię Sobieszek (nazywaną „Katasią"), która długo była związana z grupą Made in China, Ewę Stasiewicz, która jest obecnie stand-uperką, czy Kasię Piasecką, która przez kilka lat grała w formacji Słuchajcie, a teraz też działa w stand-upie.

Nie można zapomnieć o dziewczynach z grupy tanecznej Slajd. Wprawdzie zespół nie należy do kategorii kabaretu, ale swoimi występami niejednokrotnie uświetniał festiwale kabaretowe i przez to jest traktowany jako część ZZK. Obecnie każda z dziewczyn ze Slajdu prowadzi własną szkołę tańca.

Kobiety, jak widać, są niezbędnymi trybami, a czasem nawet i silnikami machiny Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego.

Degustacja komentowana

Spotkanie grona przyjaciół przy dobrym winie to naprawdę godne przedsięwzięcie. Winobranie było jedynie pretekstem, aby popróbować szlachetnych trunków z zielonogórskich winnic.

Tym razem ze względu na upały postanowiliśmy porównać wina musujące: Riesling 2021 z winnicy Od Nowa i Grempler Sekt Zweigelt Rose z winnicy Miłosz. Do tego raczyliśmy się wspaniałym bigosem z młodej kapusty i ciekawymi rozmowami w doskonałym towarzystwie. Degustacja odbyła się pod hasłem „A szampana wie i kiep, można podczas, po i przed!" (cytat z operetki „Gasparone" Karla Millöckera, ok. 1884). Zaczęliśmy od przyjemnie schłodzonego Rieslinga.

Fritz Brieger: – W tym winie jest wszystko to, co prawdziwy riesling powinien mieć. Czuć minerały i lekkie nuty naftowe oraz zapach zielonego jabłka.

Emma: – Tak, w nosie są minerały, ja szczerze mówiąc nie wyczuwam żadnych owoców.

Ewald Hase: – Ummmm! Fajne, jaki balans kwasowości! Jak dla mnie kwasowość nie wybija się, jest idealnie zachowana.

Liddy Beuchelt: – Ja zarówno w nosie ani w smaku nie czuję żadnych jabłek. Tylko nuty mineralne.

August von Birne: – Ale to wszystko jest w porządku! To jest normalny smak rieslinga.

FB: – Czy pasuje to wino musujące do bigosu? Moim zdaniem doskonale. Chociaż pewnie takiego rodzaju połączenie może być dla wielu osób zaskakujące.

EH: – Wino ma złocisty kolor, na kieliszku tworzą się łezki wynikające z jego struktury.

Emma: – Sugerujecie, że właściciele winnicy są nie tylko pojętnymi uczniami Guillaume'a Dubois z Gost Artu, który rozpoczął w naszym regionie produkcję win musujących, ale i zaczynają jemu dorównywać?

EH: – Zdecydowanie. Winnica Od Nowa jest stosunkowa niewielka, położona w okolicach Krosna Odrzańskiego i z tego też powodu można wyczuć w smaku, zapachu i strukturze wina wiele z czynników przyrodniczych tych okolic. Mineralność może brać się z piaszczystej, żwirowej, tylko gdzieniegdzie gliniastej gleby.

LB: – Dla mnie jest za słodkie, za mało wytrawne. Po czasie czuć jakby posypaną cukrem cytrynę.

AvB: – Ja bym wziął to wino do deseru. Także do owoców morza lub kuchni orientalnej.

FB: – Mamy do czynienia z typowym rieslingem, który jest uprawiany u nas od wieków. Właściwie takie wino jak to, pasuje do wielu dań, ma doskonały balans smaku i zapachu.

AvB: – Ma wszystkie cechy rieslinga, jest akademickie, bardzo poprawne.

LB: – Według mnie ma jedną wadę, niestety, bąbel zbyt szybko się ulatnia.

FB: – Dla mnie zbyt szybko wino się ulatnia z butelki, jest bardzo pijalne, hehehe… Od Nowa działa dopiero od pięciu

lat. Należy zauważyć, że musi minąć wiele czasu, zanim gleba odda wszystko to, co ma w sobie, a krzewy się w niej zadomowią.

Emma: – Można Rieslinga 2021 spokojnie kupować, pić, tym bardziej że cena, jak na trunek robiony metodą szampańską, jest przystępna, około 80 złotych.

AvB: – Za taką cenę w markecie nie można kupić żadnego naturalnego wina musującego.

Dla porównania bierzemy wino musujące Grempler Sekt Zweigelt Rose z winnicy Miłosz w Łazie.

FB: – Zweigelt to austriacka odmiana czerwonych winogron.

EH: – Jak on mocno strzelił! Jak mocno kręci w nosie gazem! Struktura w kieliszku jest zachowana.

AvB: – Jest bardziej oleiste niż poprzednie.

LB: – Ważne jest dla mnie to, że bąbel ciągle siedzi, tego oczekuję od win musujących.

Emma: – Piękny kolor różowy, w nosie zgnieciona truskawka.

AvB: – Dużo słodyczy, niczego nie brakuje, na początku troszkę jednak czuć gorycz. Myślę, że może ona wynikać ze zgniecionych szypułek.

FB: – Ja niestety czuję migdały, być może wino zaczęło się lekko utleniać. Jednak należy pamiętać, że w winnicy Miłosz nigdy nie stosuje się jakichś poprawiaczy chemicznych, ich produkty są całkowicie naturalne.

Emma: – Pijąc to wino chętnie jadłoby się jakieś delikatne mięso, może z kurczaka?

LB: – Ja z chęcią wypiłabym je do pizzy, ale takiej podstawowej, jak margarita. Albo do sałatki caprese. Mnie do żadnego mięsa nie pasuje.

AvB: – Wino to jest trochę za ciepłe, musi postać w lodówce, aby nabrało odpowiedniego smaku. Podsumowując, jest ono może niedoskonałe, ale poprawne w swoim gatunku. Idzie „po bandzie", ale niektórzy uwielbiają ten styl.

FB: – Jak dla mnie wino to było trzymane długo na osadzie, co wpływa na jego smak.

Fritz Brieger przyniósł wino niespodziankę, dokładnie opakowane tak, że nie można było odczytać jego nazwy z etykiety. Polał do kieliszków i kazał nam spróbować.

LB: – Na Bachusa, jakie ono jest słodkie, wręcz zbyt słodkie!

EH: – W nosie nic wyjątkowego, ponieważ zbyt duży bąbel niszczy wszelkie zapachy. W smaku rzeczywiście jest zbyt mało wyraziste. Wydaje się, że mogło za długo stać na osadzie drożdżowym. Właśnie! Po czasie czuć przede wszystkim drożdże!

FB: – W nosie pojawiają się delikatne owoce.

Emma: – Zgadzam się, że oprócz mocnego bąbla i dominacji słodkości, trudno jest cokolwiek powiedzieć o tym winie!

AvB: – Ja ani w nosie, ani na języku absolutnie nic nie czuję. W zasadzie jest najsłabsze, jakie dzisiaj piłem i nie jest to żadne wino z naszych winnic!

FB: – Hahahaha! To oryginalne jest wino z Szampanii, Champagne Veuve Durand. Nie jest rocznikowe, zostało zakupione w jednym z zielonogórskich supermarketów i to za najwyższą cenę spośród tych win, które dotychczas piliśmy. Jest to szampan kategorii MA składający się z trzech szczepów. Skrót MA oznacza, że ktoś skupuje winogrona i robi z tego wina.

EH: – To wprawdzie jeden z tańszych szampanów z Francji, ale porównując go do naszych win musujących, jest bez wyrazu. Być może stał za długo na półce w markecie, a szampany w większości są delikatne i wrażliwe na światło, temperaturę.

AvB: – We Francji są wielcy producenci, u nas zaś wino jest robione metodą rzemieślniczą. Gdyby zielonogórskie wina produkowano we Francji, osiągałyby cenę około tysiąca złotych. Zatem można mówić, że pijemy luksusowe wyroby za stosunkowo niewielką cenę.

LB: – Nasze musiaki niczym nie ustępują francuskim. Mnie najbardziej smakowało pierwsze, chociaż żaden mnie do końca nie przekonał.

EH: – Ja powiem niczym poeta. To nasze są pełnie młodzieńczej energii, jeszcze nie do końca ukształtowane. Natomiast francuskie jest już zmęczone staniem na sklepowej półce.

AvB: – Riesling wygrywa całą konkurencję! Może jest akademicki, poprawny, ale w smaku był najlepszy z trzech!

Emma: – Dla mnie również riesling jest najlepszy.

Oba lokalne wina mają zalety, ale i trochę wad. Wynika to z tego, że wciąż jesteśmy na początku drogi i po latach niebytu nasz region znów jest winiarski. Jego mocną stroną powinny być wina musujące, tak jak to było przed laty. Cieszy natomiast to, że wina z dzisiejszej degustacji pokonały produkt z Szampanii, wprawdzie z dolnej półki, od niewybitnego producenta, ale jednak… Na Środkowym Nadodrzu wytwarza się wiele win musujących, chcielibyśmy je Państwu przedstawić w następnych degustacjach.

SABAT

Alicja Błażyńska

Ul. Żeromskiego 16

Przez ponad sto lat ulicę Stefana Żeromskiego (dawniej Niedertorstrasse) kojarzono z działalnością księgarsko-wydawniczą. Aktywność prowadzona była w trzech sąsiadujących ze sobą budynkach.

Już na początku XX wieku pod numerem 18 rozpoczęło swoją działalność wydawnictwo Paul Mohr, Grünberg (PMG), znane z wydawania pocztówek, dzięki którym możemy dziś podziwiać niegdysiejszą urodę naszego miasta. Firma P. Mohra zakończyła swoje funkcjonowanie w 1944 roku, kiedy do Grünbergu dotarły wieści o zbliżającym się froncie i możliwym wkroczeniu Armii Czerwonej na tereny Trzeciej Rzeszy.

Kamienica pod numerem 14 z kolei wyróżniła się tym, że w niej rozpoczęła działalność pierwsza powojenna księgarnia w Zielonej Górze, nosząca nazwę Dom Słowa Polskiego. Prowadził ją jeden z najprężniejszych pionierów – Alfons Bogaczyk. Można tu było nie tylko kupować książki, ale i również je wypożyczać. Dodatkowo prowadzono kolportaż periodyków oraz sprzedaż artykułów biurowych i szkolnych. Niestety księgarnia spłonęła, a sam A. Bogaczyk związał się ze spółdzielnią Czytelnik, która rozwijała księgarstwo w innych punktach miasta.

Jednak najdłużej działającą księgarnią była ta usytuowana pomiędzy obydwoma wspomnianymi wyżej budynkami. Kamienica pod numerem 16 powstała na początku XX wieku. Podobnie jak wiele innych budynków w tej okolicy dolną jej część przeznaczono na usługi, gdzie prowadzony był między innymi sklep z artykułami tytoniowymi, sklep z rękodziełem i zakład fryzjerski. Na piętrach znajdowały się lokale mieszkalne, przeznaczone pod wynajem.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej w budynku początkowo prowadzony był sklep z galanterią należący do Stanisława Maciejewskiego, a później otworzył tam kwiaciarnię i sklep owocowo-warzywny znany zielonogórski ogrodnik Tadeusz Piotrowski. Po pięciu latach przedsiębiorca „zrzekł się" wynajmu i miejsce zostało zajęte przez zjednoczenie Dom Książki. We wspomnieniach A. Bogaczyka przeczytać można o tym, że już w dniu wyprowadzki poprzedniego najemcy młotem rozbijano mur oddzielający frontową ścianę od zaplecza. Entuzjazm księgarzy był ogromny i wiele prac wykonywano sposobem gospodarczym, na przykład pierwsze regały montowano z rozebranych półek księgarenek z placu Lenina i czytelnikowskiej przy ul. Mariackiej 3.

Z biegiem czasu sklep z książkami przy Żeromskiego 16 awansował do miana Księgarni Wojewódzkiej Domu Książki i stał się miejscem pielgrzymek wielu pokoleń zielonogórzan, którym słowo pisane było bliskie.

Gdy wchodziło się do środka, uderzał specyficzny zapach, tak charakterystyczny dla świeżo drukowanych książek. Aż do lat dziewięćdziesiątych czytelnicy mieli ograniczone dojście

W księgarni Staromiejskiej około 1980 r. *fot. Czesław Łuniewicz*

do wymarzonych lektur. Były one wyłącznie podawane przez księgarzy. Przez środek prowadził dość szeroki trakt pieszy, który pozwalał na obustronne ustawienie kolejek oraz przejście w głąb pomieszczenia na antresolę i do magazynu. Do tego ostatniego wiodło kilka schodów w dół. Często przy drzwiach doń prowadzących stały zapakowane paczki, na które tęsknym okiem patrzyli kupujący. Amatorzy literatury pięknej, obcojęzycznej oraz albumów i reprodukcji musieli wspiąć się na półpiętro po siedmiu stopniach, które już pod koniec funkcjonowania księgarni bardzo trzeszczały pod stopami. Schemat układu książek z czasem ewoluował i zmienił się w tryb samoobsługowy.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych popyt na literaturę był ogromny. Już przed otwarciem ustawiały się długie kolejki. Wydawnictwa encyklopedyczne i wielotomowe słowniki były sprzedawane na subskrypcje, do których dostęp mieli wybrani. Książek nie można było przebierać, nie pozwalano też na dłuższe czytanie. To był gorący towar, który brało się i dopiero na ulicy przeglądało i cieszyło. Współczesnemu pokoleniu, czytającemu e-booki czy słuchającemu lektury przez audiobooka, a nawet wybierającemu potrzebne tomy z półek w księgarniach trudno sobie wyobrazić, że zakup wymarzonej książki był wielkim świętem i ogromną radością. Ważną rolę odgrywali księgarze, przez tych kilkadziesiąt lat przewinęło się ich bardzo wielu. Panie Anita, Władzia, Maryla oraz panowie Roman i Jurek nie byli anonimowymi ekspedientami. Znali kupujących, umieli doradzić, wielu się zaprzyjaźniało z poszukiwaczami dobrej książki. Szczęśliwcom nawet odkładali poszukiwane lektury. Taka książka smakowała podwójnie.

W listopadzie 1990 roku na fali przekształceń ustrojowych księgarnia Staromiejska została sprywatyzowana. Jego właścicielką została Urszula Michalak-Skoracka, pełniąca wcześniej funkcję kierowniczki sklepu. Przez dwadzieścia pięć lat, wspólnie z mężem i z pomocą pracowników, prowadziła ten podlegający różnym wahaniom interes. Początkowo, gdy panował jeszcze ogromny głód książki, były lata tłuste, ale już z początkiem nowego wieku zaczęło im się powodzić coraz gorzej. Ruch na deptaku zmniejszył się drastycznie, na dodatek w powszechnym użyciu zaczęły być dostępne książki w wersji elektronicznej. Nawet koty pojawiające się w witrynie sklepowej i wędrujące po półkach nie potrafiły odwrócić kolei losu. Powoli sklep podupadał, aż wreszcie nadszedł jego koniec w tej lokalizacji. W 2015 r. księgarnia została przeniesiona do malutkiego lokalu przy ul. Adama Mickiewicza.

Od 2019 r. w miejscu dawnej księgarni Staromiejskiej działa restauracja Amarone PizzaPi. Dawni bywalcy z trudem identyfikują pomieszczenie. Jest wyższe i bardziej przestronne. Aranżacja została utrzymana w nowoczesnym, loftowym stylu. Autorką wystroju wnętrza jest znana zielonogórska designerka Małgorzata Śliwińska. I tak jak istnieje kuchnia fusion, łącząca różne smaki i rejony świata, tak lokal ten ma podobnie skrojoną estetykę. Ściany zdobią wielkoformatowe zdjęcia ukazujące przedwojenną Zieloną Górę, a szczególnie ulicę Niedertostrasse i zakład P. Mohra. Jedzenie jest dobre na portfele grube i te cieńsze. Przed budynkiem niemal cały rok jest ustawiony ogródek. A gdy nadchodzą chłodne dni, gospodarze ustawiają piecyki, w cieple których ogrzewa się także stojący nieopodal bachusik Brukus.

Gody diecezji

900 lat temu (1123/1124), w czasach panowania Bolesława Krzywoustego po obu stronach środkowej Odry powstała diecezja lubuska Kościoła rzymskokatolickiego. Istniejąca obecnie diecezja z siedzibą biskupa w Zielonej Górze zajmuje połowę tamtego terytorium, ale nie jest jej prawnym następcą.

Prawną następczynią diecezji lubuskiej jest diecezja berlińska, utworzona w 1930 r. za pontyfikatu Piusa XI, podniesiona do rangi archidiecezji dopiero w 1994 r. Jest ona prawną następczynią czterech historycznych diecezji, wśród nich również kamieńskiej i kołobrzeskiej.

Nie jest znana dokładna data utworzenia diecezji lubuskiej. Przyjmuje się, że było to w roku 1223, mimo że w spisie biskupów duńskich, szwedzkich, norweskich i polskich tego czasu wymieniono jedynie diecezje w Gnieźnie, Poznaniu, Krakowie, Wrocławiu i Płocku. Dlaczego powstała diecezja lubuska? Chodziło o integrację ziem zaodrzańskich, zajmowanych przez Słowian połabskich, zdobytych jeszcze w czasach Bolesława Chrobrego. W Kościele powszechnym król Krzywousty widział sprzymierzeńców takiej integracji.

Papież Kalikst II upoważnił kardynała Idziego z Tusculum do utworzenia nowej prowincji kościelnej z siedzibą administracji diecezjalnej w Lubuszu. W 1276 r. siedziba została przeniesiona do Górzycy po prawej stronie Odry, skąd w 1354 wróciła do Lubusza. 31 lat później, gdy wojska Karola Luksemburskiego spaliły lubuską katedrę, administracja biskupia przeniosła się do Fürstenwalde. Po śmierci biskupa Jana VII Horneburga, w 1556 r. katedrę w Fürstenwalde zajęli luteranie. Diecezja funkcjonowała do 1598 r., kiedy Joachim Fryderyk przestał używać tytułu biskupa lubuskiego. Najpierw zwierzchnictwo nad diecezją miała metropolia gnieźnieńska. W 1424 r. przeszło ono w ręce arcybiskupa w Magdeburgu.

W 1821 r. kościoły katolickie dawnej diecezji lubuskiej należały do archidiecezji wrocławskiej, a od 1930 do diecezji berlińskiej.

Od 2020 r. diecezja zielonogórsko-gorzowska ma swój herb. Nawiązanie do dawnego biskupstwa lubuskiego znajduje się na polu czerwonym – to dwa skrzyżowane srebrne bosaki i powyżej sześcioramienna złota gwiazda.

Marek Herejczak

Nie ma śladu po studenckim ośrodku jeździeckim

W poprzednim numerze zamieściliśmy pierwszą część artykułu dotyczącego ośrodka jeździeckiego Raculka. Obecnie publikujemy część drugą i ostatnią. W 2014 r. miasto przejęło to miejsce. W maju 2023 r. zostały zburzone stojące tam budynki.

Po okresie budowy i wysiłku, jaki się z tym wiązał, nastąpiło rozwijanie działalności w nowej siedzibie, której początek przypada na oficjalne otwarcie 15 lipca 1976 roku. Podmiotem zarządzającym ośrodkiem zostało Biuro Podróży i Turystyki SZSP „Almatur". Do Akademickiego Klubu Jeździeckiego należało wówczas około 40 członków i grono sympatyków z obu zielonogórskich uczelni.

Niedługo po otwarciu zawiązał się Społeczny Komitet Rozbudowy Studenckiego Ośrodka Jeździeckiego na Raculce. Do 1979 r. postawiono dom noclegowy (zwany później akademikiem i funkcjonujący na zasadzie domu studenckiego) ze stołówką na 30 miejsc wraz z niezbędnymi przyłączami. Podobnie jak w przypadku budowy głównego budynku dokumentację wykonali studenci Wyższej Szkoły Inżynierskiej pod kierownictwem doc. dr. Tadeusza Maszkiewicza. Rozbudowa umożliwiła prowadzenie szerszej działalności rekreacyjnej przez cały rok. Raculka była wówczas położona na uboczu Zielonej Góry, nie istniały obwodnice miasta, osiedla domków jednorodzinnych i blokowisko stanowiące Kisielińską Dzielnicę Mieszkaniową. Istniał niczym nieograniczony dostęp do terenów leśnych i otwartych przestrzeni wprost nadających się do jazdy konnej.

Jeźdźcy, konie i powóz z Raculki w ślubnym na zielonogórskim Starym Rynku *Archiwum Dariusza Ruiny*

Naprawdę dużo się działo

W historii zielonogórskiego AKJ można wyróżnić cztery obszary aktywności. Pierwszy to szeroka działalność rekreacyjna. Miała ona umasowić sport jeździecki w jego najprostszej formie, którą można wiązać z prowadzeniem szkółki jeździeckiej dla członków klubu i szkoleniami studentów w ramach zajęć z wychowania fizycznego. Czynnie uprawiający jeździectwo członkowie AKJ byli zwolnieni z wf. Powstały także dwie grupy – strzelców konnych i ułanów. Ponadto organizowano odpłatne zajęcia w szkółkach jeździeckich dla pracowników zielonogórskich zakładów, ale także rekreacyjne jazdy spacerowe, rajdy turystyczne konne, gry i zabawy konne oraz środowiskowe i centralne obozy jeździeckie jako tzw. Wczasy w siodle, których pierwsza edycja odbyła się już w 1976 r. Prowadzenie działalności rekreacyjnej było również uzupełnieniem oferty jeździeckiej dla chętnych z tego względu, że ośrodki państwowe zajmowały się głównie hodowlą koni i sportowym szkoleniem jeźdźców.

Drugi obszar aktywności to przeprowadzanie imprez sportowych na różnych szczeblach. Mam na myśli takie imprezy, jak obozy szkoleniowo-kondycyjne kadr akademickich klubów jeździeckich, zawody jeździeckie, mityngi, pokazy kadryla, a nawet przeprowadzone w 1978 r. na terenie ośrodka w Drzonkowie Akademickie Mistrzostwa Polski w jeździe konnej Z uwagi na ograniczone możliwości lokalowe, jak i kadrowe te zadania nie stały się wiodące w ogólnym funkcjonowaniu ośrodka. Specyfika sekcji sportowej wymuszała posiadanie większego zakresu wiedzy teoretycznej dotyczącej hodowli i pielęgnacji koni, niezbędnej w pracy wyczynowej. Od zawodnika wymaga się bowiem poznania psychiki i właściwości fizycznych zwierzęcia, a to jest czasochłonne, oraz ciągłego doskonalenia techniki jeździeckiej, co ma miejsce w trakcie treningów.

Kolejny to obszar aktywności dotyczy klubowej kultury koni. W jej ramach wyróżnić można prowadzenie Akademii Końskiej, organizowanie prelekcji na temat historii jeździectwa, pochodzeniu i pokroju koni, chodów, kondycji zwierząt, chowu, rozrodu, grup, typów, ras i organizacji hodowli koni w Polsce. W ramach tego obszaru odbywały się projekcje filmów o tematyce branżowej. Zajęcia i wcześniejsza praca przy koniach kończyły się egzaminem na członka AKJ. Z uwagi na ograniczenie miejsca nie sposób wspomnieć tutaj o drogach awansu od ucznia jeździeckiego, poprzez kandydata do starszego jeźdźca. Nie bez znaczenia było organizowanie imprez klubowych, czyli spotkań okolicznościowych, tematycznych balów końskich (na przykład poganiaczy

bydła), tzw. baboklepów (z okazji 8 Marca), ognisk, Święta Hubertusa, kuligów. Wiosną organizowano bachanaliowe Centauria – imprezy na rozpoczęcie sezonu z takimi konkurencjami jak: skoki przez przeszkody, wyścigi, cross, ujeżdżanie. Klub utrzymywał i nawiązywał kontakty z bliźniaczymi organizacjami w Bielsku-Białej, Krakowie, Poznaniu i Wrocławiu oraz z klubem przy Uniwersytecie Przyrodniczym Berlina Zachodniego, co oznaczało promocję i reklamę studenckiego ośrodka, jednego z sześciu takich w kraju. W kronikach zachowały się pochlebne wpisy gości w języku polskim, co zrozumiałe, lecz i niemieckim, czeskim, rosyjskim, a nawet arabskim.

Nawiązano współpracę z Domem Dziecka w Świebodzinie, którego wychowankowie kilka razy w roku spędzali czas, zapoznając się z życiem ośrodka, jeździli bryczką czy na kucyku, uczestniczyli w mikołajkach. W sali klubu Unkas przeprowadzano wiele spotkań i zebrań organizowanych przez inne organizacje studenckie zarówno z WSI, jak i Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Są wzmianki o organizowaniu kursów tańca towarzyskiego, przedstawień teatralnych przez aktorów Lubuskiego Teatru, spotkań ze znanymi ludźmi ze świata kultury i sportu jeździeckiego. Jeden z pierwszych długoletni członek AKJ Krzysztof Nowakowski wspomina: „W związku z posiadaniem przez nas obszernego pomieszczenia klubowego, położonego nadto w nadspodziewanie atrakcyjnych okolicznościach przyrody, odbywały się tam różne imprezy od zebrań innych klubów i zrzeszeń po prezentacje artystyczne między innymi Eli Adamiak i Andrzeja Poniedzielskiego, kabaretu Sikora (jeszcze jako przedpotemowcy), minispektakli teatralnych oraz koncertów amatorskich zespołów muzycznych, jak i wykonawców indywidualnych ballad studenckich".

Wypożyczano powozy i bryczki organizatorom wesel na przejazd nowożeńców, o czym informowała lokalna prasa.

Raculka była swego rodzaju wizytówką i miejscem, do którego zapraszano ważne osoby przebywające w Zielonej Górze, np. kosmonautę Mirosława Hermaszewskiego. Studenci gościli uczestników Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Turystycznej „Włóczęga". To miejsce odwiedził pieśniarz krakowski Marek Grechuta, olimpijczycy moskiewskich igrzysk w 1980. W latach osiemdziesiątych Raculka gościła międzynarodowe grupy teatrów esperanto.

Ostatni obszar to inna działalność związana z aktywizacją środowiska akademickiego. Ta miała za cel przyciąganie nowych członków i sympatyków z uczelni i regionu, np. w ramach współpracy ze szkołami średnimi. W klubowych gablotach znajdujących się budynkach obu uczelni były podawane informacje o ofertach Raculki.

Najważniejsze jednak było zapewnienie odpowiedniej ilości i jakości paszy dla zwierząt i dbanie o zdrowie koni. Do tego dochodziło bieżące utrzymanie czystości i porządku w stajniach i w ośrodku, ustalanie rytmu dnia pracy koni oraz wiele innych, bez których trudno sobie wyobrazić funkcjonowanie Raculki.

W maju 1988 r. rozpoczęto zajęcia z hipoterapii dla dzieci z dziecięcym porażeniem mózgowym, prowadzone wspólnie z drzonkowskim Ośrodkiem Pięcioboju Nowoczesnego. W planie znalazło się utworzenie na bazie ośrodka Centrum Rehabilitacji dla studentów z niepełnosprawnościami.

Notatki prasowe podają, że 1992 r. rumaki z ośrodka były wykorzystywane w ekologicznym patrolu konnym Straży Miejskiej, który funkcjonował w podmiejskich lasach.

Jeszcze była nadzieja

W 1993 r. klub jeździecki przeniósł swoją siedzibę z Raculki do obiektów znajdujących przy lotnisku Aeroklubu Ziemi Lubuskiej w Przylepie.

W późniejszych latach funkcjonowanie ośrodka nie odbiegało zbytnio od ram, jakie zostały nakreślone w początkowych okresie istnienia bazy jeździeckiej. Po podniesieniu WSI do rangi Politechniki Zielonogórskiej i potem utworzeniu Uniwersytetu Zielonogórskiego w wyniku połączenia WSP z politechniką Studencki Ośrodek Jeździecki pozostał przy uczelni. Studenci byli obecni w ramach zajęć z wf oraz jako członkowie klubu i uczestnicy odbywających się tam imprez, a nawet koleżeńskich spotkań. Atmosferę Raculki tworzyli przede wszystkim pasjonaci, osoby oddane koniom i jeździectwu oraz tradycjom z tym związanym.

Studenci pasjonaci utworzyli Akademickie Koło Jeździeckie „Zagończyk" Uniwersytetu Zielonogórskiego, wpisane do rejestru kół i organizacji studenckich uczelni 14 kwietnia 2008 r. Opiekunem koła został mgr Jan Maciejak. „Dla wielu z nas ośrodek był jednym z ważniejszych miejsc w życiu – wspomina Anna Giec. – Czuliśmy się w nim jak w domu, który sam tworzyliśmy. Byliśmy kimś ważnym, mam na myśli nas, konie i miejsce, w którym lubiliśmy przebywać. Angażowaliśmy się między innymi w organizowanie imprez uczelnianych (pikniki pracownicze, Bachanalia, oprowadzanie gości). Urządzaliśmy imprezy typowo końskie, jak Hubertusy czy zawody jeździeckie. Z wykładami zapraszaliśmy gości spoza uczelni, mających wiedzę z zakresu tematyki końskiej. Jako koło opiekowaliśmy się końmi w ramach »kopytkowych spotkań«. Urządzaliśmy wyjazdy integracyjne (czasami na grzbietach naszych raculkowskich rumaków) do rożnych ośrodków jeździeckich po to, żeby doskonalić swoje umiejętności jeździeckie i poznawać hodowlę".

Do października 2014 r. baza Studenckiego Ośrodka Jeździeckiego była w posiadaniu i zarządzie Uniwersytetu Zielonogórskiego. Następnym jego właścicielem zostało miasto, a studenci mieli nadzieję, że ośrodek pozostanie. W imieniu miasta miejscem tym zarządzał Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji. Tak było do maja 2023 r., kiedy budynki Raculki zburzono.

Grzegorz Wanatko

Falubaz powrócił do żużlowej ekstraligi

Pobyt żużlowców Enea Falubazu w I lidze miał być krótki. I był. Zarządzający klubem, zawodnicy i kibice sądzili, że potrwa jeden rok, ale przedłużył się do dwóch lat. W kwietniu 2024 r. zielonogórzanie znowu wyjadą na tory żużlowe w ekstralidze.

Finał rozgrywek sezonu 2022 nieoczekiwanie zakończył się przegraną zielonogórzan w dwumeczu z drużyną Wilków Krosno. Do szczęścia zabrakło tylko i aż dwóch punktów. Pomni tego że w sporcie bywają niespodzianki i o sukcesie może decydować ostatni bieg, włodarze zielonogórskiego klubu energicznie przystąpili do budowy składu na sezon 2023. Pod przewodnictwem nowego dyrektora sportowego Piotra Protasiewicza udało się zatrzymać część zawodników, a także szybko zakontraktować nowych stranieri gotowych przybrać plastron z Myszką Miki. I tak na W69 zawitali Luke Becker, Przemysław Pawlicki i Rasmus Jensen, a formację juniorów zasili Michał Curzytek i Maksym Borowiak. Tak skonstruowany skład budził uznanie ekspertów i pozwalał walczyć o najwyższe cele w kolejnym sezonie. Falubaz był w opinii znawców czarnego sportu jednym z głównych faworytów do ekstraligi żużlowej. Oprócz niego w tym gronie stawiano zespoły z Bydgoszczy, Rybnika i Ostrowa. Jednak początek rozgrywek w roku 2023 nie napawał optymizmem. Kontuzje zawodników jeszcze przed rozpoczęciem ligowych startów mogły rodzić zaniepokojenie, zwłaszcza że start zmagań wiązał się z wyjazdami do Rybnika i dalekiej Bawarii. Rzeczywiście mecz w Landshut był wyrównany, a zielonogórzanie do końca walczyli o korzystny rezultat, ostatecznie z happy endem. Trzeba przyznać, że w kilku meczach zawodnicy Falubazu niemrawo rozpoczynali zawody, ale jak mawiał znany polityk mężczyzn poznaje się po tym, jak kończą, a nie jak zaczynają. W drugiej części sezonu jeźdźcy z Winnego Grodu odnajdywali dobre ścieżki na torze i przechylali szale wygranej na swoją korzyść.

Przez większą część zmagań ligowych zielonogórzanom sprzyjało także szczęście. Mimo sporej ilości startów, zawodników omijały poważniejsze kontuzje. Sezon zasadniczy to walka z rywalami z różnych ośrodków żużlowych. Zielonogórzanie obronili swoją twierdzę na W69, a z wyjazdów do Rybnika, Landshut, Gdańska, Łodzi, Bydgoszczy, Poznania i Ostrowa Wielkopolskiego wracali z tarczą. Rundę zasadniczą zakończyli z przytupem wysoko pokonując rybnickie „Rekiny" i z imponującym wynikiem – kompletem zwycięstw i potwierdzeniem, że ich aspiracje sięgają najwyższej klasy rozgrywkowej. Przed fazą play off w myślach optymistów, którzy za pewnik brali awans, rodziło się pytanie: czy Falubaz będzie drużyną, która wygra wszystkie spotkania w sezonie? Pierwszą przeszkodą w rundzie finałowej był zespół Zdunek Wybrzeże Gdańsk. Zielonogórzanie już w pierwszym meczu wygranym na torze rywala 60 : 30 pozbawili przeciwników większych szans na awans, stawiając kropkę nad i w rewanżu w Zielonej Górze wygrywając 59 : 31. Półfinałowym rywalem Falubazu był zespół Arged Malesa Ostrów Wielkopolski. I tak w winobraniowy weekend zawodnicy zamiast świętować z Bachusem, udali się do Ostrowa. Mecz był niezwykle zacięty, ale ostatecznie triumfowały „Myszy" rezultatem 47 : 42, a tydzień później zielonogórzanie mogli świętować Dni Zielonej Górze wespół z Bachusem i jego świtą po wygranej w meczu rewanżowym w stosunku 55 : 35. Finał rozgrywek stanął otworem, a w mieście tradycyjnie były widoczne plakaty zachęcające kibiców do wyjazdu do Rybnika, bowiem ostatnim przeciwnikiem zielonogórzan była ekipa ROW-u. Na Śląsku kolejny raz zwyciężyli jeźdźcy spod znaku Myszki Miki (50 : 40), przybliżając się do upragnionego awansu.

Przed ostatnim meczem można było intonować słowa piosenki „Ta niedziela będzie dla nas". Głęboko wierzyli w to sympatycy Falubazu, którzy tłumnie zawitali na stadion przy Wrocławskiej. Finał rozgrywek obejrzał komplet 14 tys. widzów. Spotkaniu towarzyszyła oprawa sportowego święta. Osławiona trybuna K tym razem wsiadła do pociągu, który zmierzał do ekstraligi, a klub przygotował specjalne atrakcje na to niedzielne popołudnie. Deserem miało być zwycięstwo zielonogórskiej ekipy. I było. Zielonogórzanie wygrali dwudziesty mecz w sezonie. Wiktoria była okazała, wynik 58 : 32 nie pozostawiał wątpliwości komu należał się awans. Świętowanie rozpoczęto już po 11 biegu, były rundy honorowe jeźdźców na torze i pamiątkowy puchar. Na koniec fety kibice na stadionie obejrzeli laserowy pokaz, który zapewnił niesamowity wizualny spektakl.

Sezon zakończony, zawodnicy działacze i kibice zadowoleni. Cóż napawać się sukcesem można, ale krótko, kolejne wyzwania już czekają w PGE Ekstralidze. Pozostaje mieć nadzieję, że budowa składu na nadchodzący sezon zakończy się także sukcesem, a żużlowcy z Myszką Miki na piersiach ponownie zwyciężą, ot tak ze dwadzieścia razy.

Enea Falubaz Zielona Góra został mistrzem żużlowej I ligi w sezonie 2022 *fot. Dariusz Biczyński*

Ryszard Zaradny

Profesor, który został patronem ulicy

W Zielonej Górze – w 1976 roku 75-tysięcznym mieście – pomimo 27-letniego tworzenia polskiej tożsamości, odczuwano deficyt kadr inteligenckich. Toteż przybycie prof. dr. hab. inż. Zygmunta Szafrana było niewątpliwie znaczącym wydarzeniem, które odcisnęło pozytywne piętno na życiu miasta.

Przybył do Zielonej Góry jako już ukształtowany człowiek z dużym dorobkiem profesjonalnym i życiowym. Zdobył renomę w środowisku praktyków budownictwa, co zaowocowało powierzaniem mu wielu odpowiedzialnych funkcji. W latach 1963-1964 był zastępcą dyrektora do spraw naukowych we wrocławskim oddziale Głównego Instytutu Górnictwa, a od 1964 do 1972 r. przewodniczącym zarządu Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Budownictwa we Wrocławiu oraz okresowo prezesem zarządu głównego Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk o Ziemi.

Urodził się 22 czerwca 1923 r. w Krakowie. Tam przeżył młodość i w środowisku krakowskim kształtowała się jego osobowość. W okresie okupacji uczył się na tajnych kompletach, a po jej zakończeniu zdał maturę w V Państwowym Gimnazjum. Podczas wojny pracował początkowo jako ślusarz w fabryce części rowerowych, od 1940 r. jako technik mierniczy i budowlany w oddziale firmy Brown and Boveri, a to z pewnością umożliwiło mu uniknięcia wywiezienia na roboty do Niemiec. W tym czasie dokształcał się, uczęszczając do szkół dla pracujących: Państwowej Szkoły Technicznej Górniczo-Hutniczo-Mierniczej i Państwowej Szkoły Budowlanej, uzyskując dyplom technika w zakresie budowy dróg i mostów.

Po zdaniu matury wyjechał do Szklarskiej Poręby. Tutaj bardzo aktywnie udzielał się w Związku Harcerstwa Polskiego. Jako podharcmistrz założył Krąg Starszoharcerski składający się z około 30 osób, które wywierały duży wpływ na życie społeczno-kulturalne osiedlonych Polaków. Zimą 1945/1946 r. był organizatorem kursu drużynowych dla około 40 chłopców. Jego aktywność została doceniona i został członkiem komendy chorągwi w Jeleniej Górze, odpowiadając za referat finansowo-gospodarczy.

Następny etap życiowy związany był z Wrocławiem. W latach 1946-1950 kontynuował edukację techniczną, studiując na Wydziale Inżynierii Lądowej Politechniki Wrocławskiej, gdzie uzyskał dyplom inżyniera budownictwa lądowego. Przez cały okres studiów późniejszy profesor dodatkowo pracował między innymi jako projektant we wrocławskim Biurze Studiów i Projektów Budownictwa Przemysłowego.

Najwyraźniej wzrastanie w krakowskim klimacie kulturalnym mocno się w nim zakorzeniło, bowiem w 1949 r. rozpoczął studia historii sztuki na Wydziale Historyczno-Filozoficznym Uniwersytetu Wrocławskiego i w 1953 r. uzyskał dyplom historyka sztuki. Należy jeszcze dodać, że świetnie grał na fortepianie.

Pracę naukową rozpoczął w 1950 r. na stanowisku asystenta w katedrze budownictwa przemysłowego Politechniki

mal. Halina Kozłowska-Bodek

Zygmunt Szafran (1923-1991)

Wrocławskiej. W tej uczelni przeszedł wszystkie etapy awansu naukowego. Stopień doktora uzyskał w 1960 r. na podstawie pracy „Wpływ wibracji na osiadanie i kąt tarcia wewnętrznego frakcji kwarcowych". Pracę habilitacyjną zatytułowaną „Zmiany cech brył gruntów spoistych w czasie transportu taśmowego" obronił w 1965 r. Tytuł profesora nadzwyczajnego został mu nadany siedem lat później.

Do Zielonej Góry prof. Szafran przeniósł się w 1972 r., kiedy został mianowany przez Ministra Oświaty i Wychowania na funkcję rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej, którą pełnił do roku 1976.

Jak relacjonował ówczesny docent Henryk Samujłło, „Prof. Szafran od początku swojej pracy w Wyższej Szkole Inżynierskiej starał się stworzyć atmosferę wzajemnego zaufania i sympatii, chciał bowiem jak najszybciej zobaczyć efekty podejmowanych działań. Swoją najważniejszą cechę jako organizatora zaprezentował już na pierwszym spotkaniu z prorektorami i dziekanami: Będę zgłaszał wiele pomysłów. Te, które uznacie za dobre, będziemy wspólnie realizować". Niezwykle ważną kwestią dla rozwoju uczelni była kadra naukowo-dydaktyczna. Prof. Szafran potrafił przekonać wielu wrocławskich uczonych do kontynuowania swojej kariery naukowej w Winnym Grodzie. Efekty były imponujące, w 1972 r. bowiem w zielonogórskiej uczelni pracowało 12 profesorów i docentów, rok później – 22, a po dwóch latach – 45. W trakcie jego kadencji rektorskiej rozpoczęto tworzenie niezbędnej infrastruktury. Uczelnia rozwijała także struktury wewnętrzne – utworzone zostały instytuty.

Przekształciła się z wyższej szkoły zawodowej w akademicką, uzyskując prawo prowadzenia studiów magisterskich na wszystkich kierunkach.

W Zielonej Górze profesor kontynuował swoje pasje społecznikowskie, zarówno na polu naukowym, jak i społecznym. W uczelni rozwinięto organizowanie konferencji, sympozjów naukowych dotyczące budownictwa osiedli mieszkaniowych, zagospodarowaniu przestrzeni regionu dla celów turystycznych, wykorzystaniu zasobów regionu dla budownictwa drewnianego. W ramach Lubuskiego Towarzystwa Naukowego powstał Wydział Nauk Technicznych. Bardzo istotne znaczenie dla rozwoju uczelni miała współpraca – dzięki osobistym kontaktom nawiązywanym podczas konferencji międzynarodowych – z zagranicznymi ośrodkami akademickimi z Wyższą Szkołą Architektury w Weimarze, wyższymi szkołami technicznymi w Budapeszcie, Brnie, Ilmenau, Erewaniu, Witebsku.

Po ukończeniu kadencji rektorskiej, w latach 1977-1978 prof. Szafran kierował Instytutem Budownictwa. W 1979 r. wyjechał do Algierii i do 1984 pracował na stanowisku profesora w Wyższej Szkole Budownictwa w Algierze.

Po powrocie z Algierii kontynuował pracę dydaktyczną, naukową i organizacyjną w Zielonej Górze. Do osiągnięć naukowych prof. Szafrana należy między innymi wyjaśnienie przyczyn gwałtownych usuwów nadkładowych gruntów w kopalniach odkrywkowych, opracowanie nowych sposobów zabezpieczania konstrukcji zabytkowych obiektów oraz metod prefabrykacji stanów zerowych dla wysokich budynków. Organizowana ogólnopolska konferencja specjalistów poświęcona była głównie budownictwu na terenach zaburzonych glacitektonicznie oraz na gruntach po kopalniach odkrywkowych węgla brunatnego. Wyniki tych prac były wykorzystywane przy projektowaniu zielonogórskich osiedli mieszkaniowych.

Jego wrażliwość społeczna skłaniała do aktywności na rzecz ludzi, najpierw w Polskiej Partii Socjalistycznej, a później w Związku Nauczycielstwa Polskiego we Wrocławiu i Zielonej Górze. W Zielonej Górze był radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej, a także prezesem koła Towarzystwa Walki z Kalectwem oraz przewodniczącym oddziału Naczelnej Organizacji Technicznej.

Oczywiście, taka działalność naukowa i społeczna była doceniana, toteż był odznaczany i nagradzany, m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, tytułem Zasłużony Nauczyciel PRL, Medalem Komisji Edukacji Narodowej i licznymi odznakami honorowymi. Był też wielokrotnie wyróżniany nagrodami resortowymi.

Profesor Szafran miał opinię – według doc. Samujłły – doskonałego organizatora, teoretyka i praktyka realisty, a przede wszystkim wspaniałego człowieka, lojalnego i życzliwego ludziom. W życiu prywatnym był duszą towarzystwa, zwłaszcza w czasie różnych uroczystości i imprez organizowanych przez uczelnię, jak bale sylwestrowe, wycieczki geologiczne czy podczas studenckich Bachanaliów.

W uznaniu zasług dla Ziemi Lubuskiej Rada Miasta Zielonej Góry nadała jego imię ulicy, która biegnie wokół budynków Uniwersytetu Zielonogórskiego w kampusie, gdzie była Politechnika Zielonogórska.

Niestety, poważna choroba serca spowodowała przedwczesną śmierć. Profesor Zygmunt Szafran zmarł 23 października 1991 r.

Jubileuszowy konkurs

Ilya Katz z Izraela otrzymał Grand Prix podczas międzynarodowego konkursu na rysunek satyryczny „Jubileusz". W 2023 r. była to 25. edycja tego konkursu.

Pierwszy konkurs odbył się w 1986 r. w Zielonej Górze. W 1991 r. nastąpiła przerwa. 14 lat później konkurs został przeniesiony do Kożuchowa. Po powrocie do Zielonej Góry obowiązki organizatora wzięło na siebie stowarzyszenie Debiut. Od 2011 r. głównym organizatorem jest zielonogórska biblioteka im. Norwida. Każdy konkurs miał inny temat, np. książka, telewizja, sztuka, wino, media społecznościowe. Ostatni konkurs był jubileuszowy, dlatego zadaniem jego uczestników było nadesłanie rysunku związanego z tym tematem.

Na konkurs w 2023 r. wpłynęło 198 prac 77 autorów z 21 państw. Najważniejszą nagrodę Grand Prix komisja pod przewodnictwem czeskiego rysownika Břetislava Kovařika przyznała pracy artysty z Izraela – Ilyi Katzowi. Nagrody regulaminowe otrzymali Polacy: pierwszą – Witold Mysyrowicz, drugą – Henryk Cebula, trzecią – Nika Jaworowska. Kilka zielonogórskich instytucji ufundowało nagrody specjalne, otrzymali je: Nikola Listeš (Chorwacja) – Zielonogórski Ośrodek Kultury, Valery Momot (Ukraina) – Biuro Wystaw Artystycznych, Czesław Przęzak (Polska), Andre Pijet (Kanada) i Tomasz Wołoszyn (Niemcy) – oddział okręgowy NBP. Maciej Trzepałka (Polska) otrzymał nagrodę Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury.

Za tę pracę Valeriu Kurtu (Niemcy) otrzymał nagrodę Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry „Winnica"

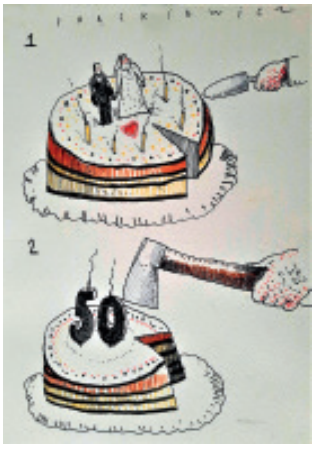

Jackowi Frąckiewiczowi (Polska) swoją prywatną nagrodę przyznał Ryszard Błażyński – pomysłodawca i twórca konkursu, prezes naszego stowarzyszenia

Anna Sobecka

Szczęśliwy zbieg okoliczności

Przeżyłam w Zielonej Górze osiem lat. Tylko osiem. Ale były to lata ważne i w moim życiu decydujące. Spotkałam męża, urodziłam dzieci, poznałam spory kawałek pięknego regionu, miałam satysfakcję z wykonywanej pracy. O tym, że zamieszkam w Winnym Grodzie nigdy wcześniej nie myślałam. Tak po prostu wyszło.

Kończąc studia na Uniwersytecie Warszawskim już wiedziałam, że marzenia o pracy w zawodzie w klimatach bieszczadzkich nie spełnię. Po prostu, w Ustrzykach Dolnych nie było wolnego etatu dla kogoś takiego jak ja, po studiach bibliotekoznawczych. Wobec tego na początek chciałam zostać blisko Warszawy, żeby nie zrywać radykalnie kontaktów ze środowiskiem studenckim ZMW, wtedy mi najbliższym. Ten rok jednak wystarczył, żeby się przekonać, że pracować w szkole nie mogę, poza tym wyczerpały się także powody emocjonalne pozostania w pobliżu Warszawy. W odpowiednim momencie uczciwie uprzedziłam dyrekcję, że od września rozstaję się z Piasecznem. Tak zwanych widoków na przyszłość nie miałam żadnych. Wiedziałam, że najchętniej pojadę tam, gdzie jeszcze nie byłam. I rozpuściłam wici wśród przyjaciół, że poszukuję dobrego miejsca i dobrej pracy. Wkrótce pojawiła się taka okazja.

Moja przyjaciółka z lat studiów Teresa od kilku miesięcy pracowała w redakcji prozy Programu II Polskiego Radia (wtedy przy ul. Myśliwieckiej). Któregoś dnia poproszono ją do gabinetu szefa, gdzie odbyła się krótka mniej więcej tak brzmiąca rozmowa:

– Pani Tereso, jest pani osobą młodą (była najmłodsza w zespole), z pewnością ma pani wśród znajomych kogoś, kto interesuje się literaturą i chciałby popracować w radio. – Teresa bez wahania odrzekła, że owszem, zna kogoś takiego. – Bo widzi pani, w Rozgłośni Polskiego Radia w Zielonej Górze poszukują właśnie kogoś do redakcji literackiej.

Teresa otrzymała namiary do Zielonej Góry (numer telefonu, nazwiska) i sugestię, by osoba, o której myśli, jak najszybciej się skontaktowała z rozgłośnią. Za pośrednictwem sekretariatu w szkole (biblioteka osobnego telefonu nie posiadała) przekazała mi wiadomość, że jest bardzo pilna i ważna sprawa, i bym po południu przyjechała do niej. Po pracy pojechałam do Warszawy, od Teresy usłyszałam szczegółową relację o rozmowie w gabinecie naczelnego, dostałam wszystkie informacje potrzebne do kontaktu z Zieloną Górą. Następnego dnia korzystając z uprzejmości sekretarki, zadzwoniłam do Rozgłośni PR w Zielonej Górze i zostałam umówiona na „rozpoznawcze" spotkanie w określonym dniu o godzinie dziewiątej. Pamiętam to tak dokładnie, bo ta godzina była mi bardzo na rękę. Pociąg z Warszawy przyjeżdżał wczesnym rankiem. Wydawało mi się, że to wstępne spotkanie zajmie kilka godzin, a wieczorem będę mogła wracać.

W rozgłośni jednak okazało się,
że plany muszę skorygować. Po wstępnej rozmowie w gabinecie Tadeusza Kajana (był zastępcą redaktora naczelnego odpowiedzialnym za pion artystyczny programu i jednocześnie kierownikiem redakcji literackiej) usłyszałam, że wszystko co mówię, brzmi dobrze, przed ostateczną decyzją muszę jednak wykazać się pewnymi umiejętnościami. Na to rzecz jasna, trzeba więcej czasu niż kilka godzin. Przerażonej wizją nocowania nie wiem gdzie (nie byłam przygotowana na taki rozwój sytuacji, żadnego noclegu nie rezerwowałam) redaktor Kajan wyjaśnił, że o to mam się nie martwić, będę miała pokój w Hotelu Śródmiejskim na trzy dni, na koszt rozgłośni. W tym czasie muszę „się wykazać", wykonać trzy zadania: napisać przegląd zawartości najnowszego numeru dwutygodnika „Nadodrze", omówienie monografii województwa zielonogórskiego, wydanej niedawno z okazji dwudziestolecia jego istnienia, i recenzję z przedstawienia amatorskiego teatru w jednym z zakładowych domów kultury. Otrzymałam najświeższe „Nadodrze", książkę i zaproszenie na premierę „Elżbiety Bam" Daniiła Charmsa, którą przygotował zespół kierowany przez aktorkę Ludwinę Nowicką. Trzeciego dnia z gotowymi tekstami miałam się pojawić w rozgłośni. Tak się też stało. Tu czekała mnie „próba mikrofonu", o czym nie zostałam uprzedzona, ale czego mogłam się spodziewać – to przecież radio, a więc głos, a nie tylko słowa napisanego tekstu.

W reżyserce studia w starym budynku rozgłośni zasiadło kilkuosobowe gremium: kierowniczka programu Ewa Filipowicz, reżyser Zbigniew Solecki z nieodłącznym papierosem w długiej cygarniczce, realizator Zygmunt Galek i redaktor Kajan. W dużym studiu – ja sama, czułam się jak ryba w akwarium, której przyglądają się i o której rozmawiają widzowie za szybą. Że tremę miałam w tej sytuacji ogromną, nie trzeba dodawać, i wszystkie objawy stresu radiowego. Ale się skupiłam, i przed tym nieznanym mi gronem przeczytałam jeden tekst (spektakl mi się podobał, więc recenzja była przychylna), przeczytałam drugi (w omówieniu monografii uczciwie zreferowałam zawartość kolejnych rozdziałów, choć interesowały mnie najbardziej kultura, sztuka, a mniej gospodarka), i wreszcie trzeci – i tu wydarzyła się anegdotyczna historia, którą przyjaciołom już nieraz opowiadałam. Czytam, dochodzę do pewnego miejsca i – cisza, bo zacięłam się przy nazwisku autora, na którego tekst chciałam zwrócić uwagę słuchaczy. Czytam: „Andrzej K....", powtarzam, a w głowie pustka, bo jakie są męskie imiona na literę K? A w radiu nie może być cisza, lepiej wymienić jakiekolwiek, niż zamilknąć. Tylko że w tym momencie nie mogłam sobie przypomnieć żadnego imienia męskiego na tę literę. I wreszcie po trzeciej chyba powtórce, szepnęłam sama do siebie najciszej jak mogłam: kur... Zapomniałam, jak bardzo mikrofon jest czuły! Mimo iż mikrofon mnie nie peszył, bo nie był mi zupełnie obcy. Niezłą praktykę miałam podczas krótkiej przygody w radiu studenckim, gdzie cały program był „na żywo". Nie znoszę przekleństw, sama ich używam naprawdę wyjątkowo.

To była taka właśnie wyjątkowa sytuacja, a przekleństwo wymsknęło mi się bezwiednie. Podnosząc oczy znad kartki zobaczyłam, jak za szybą wszyscy serdecznie się śmieją. Spąsowiałam. A pani Ewa przez interkom wypowiedziała słowa, które pamiętam do dziś:

– Pani Haniu! Jest dobrze. Jak już pani zaklęła, to dalej będzie tylko lepiej. A Waśkiewicz ma na drugie imię Krzysztof.

Jakoś, gdy z grubsza ochłonęłam, dobrnęłam do końca z tekstem. Taki był mój pierwszy kontakt z Andrzejem, zaoczny.

Po zakończeniu tej egzaminacyjnej sesji mikrofonowej w rozgłośni odbyła się analiza mojego występu, wszyscy zgodnie ocenili go pozytywnie, punktując dobre strony, co mnie podniosło na duchu po tym „chrzcie bojowym", z którego nieraz potem żartowaliśmy. Ze strony redaktora Kajana padło pytanie, od kiedy mogłabym zacząć pracę, o ile taka decyzja zapadnie (bo na razie jeszcze jej nie podjęto). Odpowiedziałam, że od pierwszego września, bo wtedy kończy mi się umowa w Piasecznie.

– To my tu jeszcze rozważymy i zastanowimy się, proszę czekać, damy znać, czy panią zatrudnimy, ale jeśli tak, to proszę się przygotować na rozpoczęcie pracy od 15 sierpnia. Wieczorem wsiadłam w pociąg do Warszawy.

To był koniec czerwca.

Wróciłam do Piaseczna, by dokończyć obowiązki w aktualnej pracy. Powoli pakowałam niewielki dobytek, bo dotychczasowe mieszkanie trzeba było opuścić. I w niepewności czekałam na wiadomość z Zielonej Góry, nie rezygnując jednak z rozglądania się za alternatywnym rozwiązaniem. Wkrótce nadszedł telegram z rozgłośni, potwierdzający zatrudnienie mnie od połowy sierpnia. Jakie znaczenie miały te dwa tygodnie? Nie mam pojęcia i nie dopytywałam też o to. Pakowanie ukończyłam, wyskoczyłam jeszcze na krótko do rodzinnego domu, gdzie wiadomość o nowej pracy w nowym miejscu wywołała zaniepokojenie, głównie z powodu odległości. Z mojej rodzinnej Sokólszczyzny na Ziemię Lubuską – to dokładnie spod jednej granicy pod drugą. A komunikacyjnie – wyzwanie, gdy się korzystało z połączeń PKP. Ale ja się cieszyłam. Cieszyło mnie to, że muszę się odnaleźć w zupełnie nowych realiach. Samo miasto, które miałam możliwość poznać jedynie w cząstce, przypadło mi do gustu. Kameralność Zielonej Góry wydawała mi się wtedy pełna wdzięku. I te winnice. I ten ryneczek. I wszędzie tak blisko...

Kameralność Zielonej Góry wydawała mi się wtedy pełna wdzięku. I te winnice. I ten ryneczek. I wszędzie tak blisko...

Zostałam dziennikarką (na początek: młodszym redaktorem) redakcji literackiej zielonogórskiej rozgłośni Polskiego Radia. Poza pełniącym obowiązki jej kierownika redaktorem Kajanem było nas dwoje: Romuald Szura i ja. Zespół dziennikarski rozgłośni wtedy, w połowie sierpnia 1971 roku, nie był specjalnie liczny, ale przede wszystkim z perspektywy 23-latki był „stary". Bo tworzyli go koledzy już doświadczeni, a więc i mający swoje lata. W mojej kategorii wiekowej była jedynie Krysia Mikówna, pracująca w dwuosobowej redakcji muzycznej, której szefem był Janusz Mencel. Dzięki Krysi łatwiej mi było poznawać miasto, szybko też zaprzyjaźniłyśmy się, poznałam jej rodziców, młodszego brata, który próbował sił w jakimś młodzieżowym zespole muzycznym. Dopiero chyba rok później do redakcji literackiej dołączył Wojtek Jażdżewski, po kilku latach doszedł do zespołu dziennikarskiego Grzegorz Chwalibóg. Z młodych był jeszcze Tadeusz Samitowski (jeśli dobrze pamiętam, w redakcji młodzieżowej, kierowanej przez Barbarę Obremską) i nieco później Janusz Grot.

Redakcja literacka, pomimo swej nazwy, de facto obejmowała także działalność kulturalną i wszystkie obszary sztuki, a więc także teatr, film, sztuki plastyczne. Nie dotyczyło to muzyki. Tą zajmowała się redakcja muzyczna. Mimo szczupłego programu lokalnego, literatura i problematyka kulturalna miały swoje stałe i niemałe – jak dziś oceniam – miejsce na antenie. Raz w miesiącu był odcinek promujący poezję, podobnie było z prozą. Słuchowiska także nadawano regularnie, chyba jednak w nieco innym rytmie. Może jedno w kwartale? Nie pamiętam. Teksty niepublikowanych jeszcze wierszy i nowej prozy (opowiadania i fragmenty powieści) dostarczali sami autorzy, taki debiut na antenie wiązał się z całkiem przyzwoitym honorarium. Do pisania słuchowisk zachęcała rozgłośnia, organizując konkursy. Do realizacji kierowano nie tylko nagrodzone, ale i wyróżnione słuchowiska. Praca nad przygotowaniem tekstów na antenę a także „asystentura" przy ich nagrywaniu w studiu pozwalała poznawać pisarzy, ale także aktorów angażowanych do nagrań. To zresztą jeden z walorów pracy dziennikarskiej: możliwość poznawania nowych, ciekawych osób, nie tylko poetów, prozaików, ale przedstawicieli rozmaitych środowisk twórczych i kulturalnych malarzy, rzeźbiarzy, działaczy regionalnych. Oprócz audycji promujących literaturę środowiska, wymyślałam magazyny, a to o kwiatach, a to o niebanalnych imionach, wszystko oczywiście z odniesieniami do literatury, przede wszystkim poezji. Innym obszarem moich obowiązków była działalność placówek kulturalno-oświatowych: domów i ośrodków kultury, bibliotek. To sobie bardzo ceniłam, bo przy okazji mogłam poznawać teren województwa. Przemków, Krosno Odrzańskie, Skwierzyna, Łagów, Dąbrówka Wielkopolska, Babimost, Podmokle Małe i Wielkie, Nowa Sól, nie wspominając o Gorzowie Wielkopolskim... Gdy się tam docierało pociągiem lub autobusem (samochód służbowy był zarezerwowany dla starszych dziennikarzy), po drodze oglądało się krajobraz i architekturę, tak odmienne od mazowieckiego czy podlaskiego. Nagrywałam obszerniejsze materiały do przygotowywanych przez siebie programów lub pisałam niedługie teksty, które wchodziły w skład większych audycji. Z czasem próbowałam też sił w reportażykach „z życia wziętych", przyznaję, z różnym skutkiem. Niektóre z nich nie zyskiwały aprobaty szefów. Tak było na przykład z audycją o niedolach sublokatorskich, w której wykorzystałam zarówno własne doświadczenia (musiałam kilkakrotnie zmieniać wynajmowane pokoje), jak i będących w podobnej sytuacji młodych dziewcząt pracujących w innych instytucjach.

Wiele z tego, co robiłam, wynikało z poleceń służbowych. Co jakiś czas następowały bowiem wydarzenia, do których przywiązywano szczególną wagę, omawiano w prasie, więc musiały znaleźć odbicie także na antenie. Zielona Góra, jak wiadomo, miała Festiwal Piosenki Radzieckiej. Impreza nie

tylko artystyczna, ale i polityczna. Krysia i pan Janusz mieli wtedy pełne ręce roboty, zjeżdżali także dziennikarze muzyczni z Warszawy. Ale z czasem z Festiwalu wypączkowały imprezy towarzyszące: Dni Literatury Radzieckiej i międzynarodowe plenery malarskie z udziałem artystów z ZSRR. To już były zadania dla nas, dziennikarzy z redakcji literackiej. Program Dni Literatury Radzieckiej był ambitny, jednego dnia sesja naukowa w Zielonej Górze, a w kolejnych dniach uczestnicy rozjeżdżali się do miast i miasteczek województwa na spotkania autorskie. A uczestnikami obok pisarzy lubuskich byli także przyjezdni z innych regionów Polski, i – co najważniejsze – goście honorowi ze Związku Radzieckiego. Z nimi był ten kłopot, że do dnia imprezy nie było wiadomo, kto przyjedzie. Z Moskwy, Leningradu, a może z Kijowa, Rygi czy z Duszanbe lub Mińska? I jak się do takich spotkań i nagrań przygotować? Dobrze, jeśli okazywało się, że można jakieś informacje o przybyłym pisarzu gdzieś znaleźć, a jeszcze lepiej – jeśli były dostępne jego książki w przekładzie. Ale to wcale nie była reguła, a raczej sytuacja wyjątkowa. Zdarzyło się i mnie brać udział w takim wyjeździe, gdy przyjechał na Dni Literatury Radzieckiej białoruski prozaik Janka Bryl, którego kilka opowiadań tłumaczyłam, do audycji, która była emitowana także na antenie ogólnopolskiej, w II Programie Polskiego Radia, i drukowane na łamach „Nadodrza". Ale to było kilka lat później.

Pierwszym ważnym wydarzeniem, w którym przyszło mi uczestniczyć, także poprzez swój wkład w program radiowy odnotowujący je, był

jubileusz oddziału ZLP.

Jesienią 1971 roku, kilka tygodni po rozpoczęciu przeze mnie pracy w rozgłośni zielonogórskiej, tutejszy oddział Związku Literatów Polskich świętował dziesięciolecie istnienia! Miała powstać stosowna audycja, redaktor Kajan porozdzielał zadania. Wywiady z najważniejszymi osobami środowiska zarezerwował dla siebie, coś tam miał nagrać redaktor Szura, a ja otrzymałam polecenie, by nagrać rozmowę z młodym krytykiem o aktualnej kondycji lubuskich literatów. Miałam zadzwonić do redakcji „Nadodrza" i umówić się z Andrzejem Waśkiewiczem. I ostrzegł mnie:

– Tylko niech pani nie dzwoni przed dwunastą, bo on przed południem do redakcji nie przychodzi.

Potem przekonałam się, że Andrzej pracuje do późna w nocy, mogąc się wtedy skupić, gdy nic i nikt mu nie przeszkadza, i dlatego wstaje późno. Zadzwoniłam, umówiłam się na nagranie w studiu. Andrzej przyszedł – i rozczarowałam się jego wyglądem! Ze zdjęcia na okładce informatora „Lubuskie środowisko literackie" spoglądał przymrużonymi oczami krótko ostrzyżony przystojny młodzian, a tu przyszedł gość w skórzanej kurtce 7/8, z włosami do ramion, które jakoś nieszczególnie mi się podobały. Do dziś widzę go, jak przechadza się wzdłuż pokoju redakcyjnego, od drzwi do okna i z powrotem, z papierosem w ręce. I gdy mu wyłuszczyłam, że chodzi o tę aktualną kondycję lubuskiego środowiska literackiego, usłyszałam mniej więcej:

– Wie pani, nie ma tu jakichś specjalnie wybitnych indywidualności. No dobrze, jest kilku niezłych poetów (tu padły nazwiska), był naprawdę dobry prozaik Trziszka, ale wyjechał, z prozaików jest dobra Dowgielewiczowa, mieszka w Gorzowie. I właściwie... No, oczywiście, jest zjawisko niepowtarzalne, to Papusza, cygańska poetka, ale to tyle! – Trochę słabo mi się robiło, bo już sobie wyobrażałam taką wypowiedź na antenie! Na szczęście Andrzej na koniec dodał: – Ale ja rozumiem, pani musi to nagrać, jest jubileusz. To ja pani powiem, żeby nikt się nie czepiał.

Poszliśmy do studia. Co zostało powiedziane, co nagraliśmy i co się znalazło w audycji, można posłuchać, bo pewnie jest ona przechowywana w archiwum.

Nasza znajomość rozwijała się niespiesznym rytmem, i długo nie potrafiłam Andrzeja „rozgryźć". Aż w końcu pomógł kolejny jubileusz. Tym razem było to piętnastolecie „Nadodrza", rok później. Na czyje zaproszenie znalazłam się wśród biesiadników jubileuszowego wieczoru, nie potrafię powiedzieć. Może Henryki Doboszowej, może naczelnego redaktora Bolesława Solińskiego? W każdym razie przy długim stole, gdy już większość zespołu redakcyjnego i gości tej biesiady znajdowała się „pod wpływem", Andrzej publicznie wyznał mi miłość!

– Kocham redaktor Sobecką – tak to brzmiało.

– No, coś takiego! – wykrzyknęła Henryka.

Konsekwencje są znane. Trzy kwartały później braliśmy ślub. W Urzędzie Stanu Cywilnego ledwie pomieścili się wszyscy, którzy nam w tym akcie towarzyszyli. Pewnie cały zespół redakcji „Nadodrza", moi koledzy i koleżanki z radia (i sam naczelny redaktor Jan Kołodziej), rodzina, przyjaciele: Ania Tokarska, Henia i Fred Thielowie, Lothar Herbst (przyjechał z Wrocławia) i wiele innych osób. Świadkami byli: Jurek Leszin-Koperski i moja przyjaciółka ze studiów Teresa Kalińska. Fotograficzną rejestrację tego wydarzenia mieliśmy uzgodnioną z kolegą redakcyjnym Andrzeja, znakomitym fotografikiem Czesławem Łuniewiczem. Pech chciał, że tego sobotniego ranka Czesław wylądował w szpitalu w okropnych bólach. Jak potem wspominał, „rodził kamienie". Na szczęście mój brat Janusz, amatorsko zajmujący się fotografią, miał ze sobą aparat, więc jakieś zdjęcia, choć niedoskonałe, z tego dnia mamy.

Przy długim stole, gdy już większość zespołu redakcyjnego i gości biesiady znajdowała się „pod wpływem", Andrzej publicznie wyznał mi miłość!

Mieszkanie przy ul. Dzierżyńskiego

(obecnie Władysława IV) miało trzy pokoje. Jeden zajmowała mama Andrzeja, drugi – malutki, w którym prócz biurka i fotela mieściły się jeszcze dwa regały – był pracownią Andrzeja, a trzeci, największy, z małym balkonem, był naszą sypialnią, pełniąc też funkcję pokoju gościnnego. Gdy urodziła się nasza córeczka Oleńka, jej łóżeczko też stanęło w tym pokoju. Wtedy życie towarzyskie musiało się ograniczyć do jednego w roku, ale za to wielkiego, spotkania z okazji imienin Andrzeja. Oleńka wraz z łóżeczkiem wędrowała na jedną noc do pokoju babci. Andrzej zaczął starania o zamianę mieszkania na większe. Z racji wykonywanego zawodu oboje mieliśmy prawo do tzw. dodatkowego pomieszczenia do pracy. Tak stanowił przepis, ale nam naprawdę ten jeden, choćby mały, pokój bardzo by się przydał. Pamiętam nawet wizytę u jednego z dygnitarzy (partyjnego kolegi Andrzeja zresztą,

z ZSL), z nadzieją, że jakoś nas poprze, pomoże. A gdzie tam. Nie była to przyjemna rozmowa. Andrzej w tym czasie w trakcie pobytu w Gdańsku na finale Konkursu Poetyckiego Czerwonej Róży, usłyszał propozycję, by się zastanowił nad przeprowadzką nad morze. Trochę to potrwa, ale zamiana mieszkania na pewno będzie możliwa. Tryby ruszyły, decyzja dojrzewała. Gdy urodzili się bliźniacy, sytuacja naprawdę stała się trudna. I wtedy nagle w Zielonej Górze zamiana mieszkania na większe, za dopłatą oczywiście, okazała się możliwa. Grzech było nie skorzystać, bo na Dzierżyńskiego chłopcy spali na dwóch zsuniętych fotelach. No, ale jak długo mogli tak spać? Gdy mieli trzy miesiące, przeprowadziliśmy się do bloku przy ul. Gwardii Ludowej (obecnie Wyszyńskiego). Był ten dodatkowy pokój, więc całą sześcioosobową już rodzinę dało się jakoś rozlokować. I być może zostalibyśmy tam na dłużej. Ale tu paradoksalnie, okazało się, że ten sam człowiek, który osiem lat wcześniej zatrudnił mnie w radiu w Zielonej Górze, teraz spowodował, że jednak pożegnaliśmy się z tym miastem. Teraz jednak to nie o mnie, a o Andrzeja chodziło. W międzyczasie bowiem redaktor Kajan został naczelnym „Nadodrza". Dlaczego Waśkiewicz mu uwierał, nie wiem. Może jego ranga w skali ogólnopolskiej? Może jego niepokorność i niezależność myślenia? Może jedno i drugie, i jeszcze coś innego? Fakt jednak pozostaje faktem, że mając taką możliwość, zaczął Andrzejowi, jako jego szef, utrudniać życie. Ja korzystałam z bezpłatnego urlopu wychowawczego, zajmując się małymi bliźniakami, utrzymywaliśmy się z pensji Andrzeja i jego dodatkowych honorariów w innych pismach, gdzie publikował. Uważna kwerenda ostatniego rocznika „Nadodrza" z czasów pracy Andrzeja jasno wskazuje, że nie było tam dla niego miejsca. W ciągu roku wydrukowano mu trzy teksty! Trzy! Wszystkie dotyczyły spraw gorzowskich, i spraw związanych z oświatą. Redaktor Waśkiewicz, nie żaden młodzieniaszek przecież, z doświadczeniem dziennikarskim już kilkunastoletnim, jeździł więc autobusem do Gorzowa, żeby przeprowadzić wywiad z kuratorem oświaty, zebrać materiał, napisać artykuł (bo na służbowy samochód nie mógł liczyć, na to zgodę musiałby wyrazić redaktor naczelny). Teksty, które zgłaszał i pisał, były odrzucane – pozostały w archiwum AKW, z adnotacjami Kajana. Łatwo sobie wyobrazić, jak mogła się skończyć ta historia, gdyby rozwijała się w tym kierunku. Bo jeśli dziennikarz jest na łamach pisma nieobecny, to po co on komu w redakcji? A poza redakcją dwutygodnika co mógłby robić w Zielonej Górze? Po przeprowadzce do Gdańska, otrzymał pół etatu w redakcji kwartalnika „Punkt". Potem, gdy „Punkt" zlikwidowano (po zawieszeniu w stanie wojennym po prostu go nie „odwieszono", jak wielu innych pism także), musiał zatrudnić się w Warszawie w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. Mógłby to zrobić także mieszkając w Zielonej Górze, ale z Gdańska przynajmniej dojazd do Warszawy szybszy i połączeń kolejowych więcej.

Przez wiele lat po wyprowadzce do Gdańska nie byłam w Zielonej Górze. Andrzej jeździł na jakieś literackie konwentykle. Razem pojechaliśmy dopiero po moim przejściu na emeryturę. Ale pozostał mi ogromny sentyment do tego miasta. Na szczęście pozostały przyjacielskie kontakty, trwające do dziś. Wprawdzie nie ma już Ani Tokarskiej, nie żyje Fred, ale zawsze staram się spotkać z Henią, z Mariolą Wasik, z Małgosią Szcześniak. Mogę przy okazji wpaść do Kożuchowa na rodzinne groby Andrzeja. No i w Wilkanowie są Kurzawowie. W ostatnich latach jeżdżę już sama listopadową porą na uroczystość wręczania nagrody literackiej oddziału ZLP, nazwanej imieniem Andrzeja.

fot. Janusz Sobecki

Anna Sobecka (na zdjęciu dzień po ślubie z Andrzejem Waśkiewiczem, 8 lipca 1973 r.) – urodziła się na Podlasiu. Ukończyła bibliotekoznawstwo i informację naukową na Uniwersytecie Warszawskim. Po studiach była dziennikarką w Zielonej Górze, w 1982 r. związała się z Radiem Gdańsk, gdzie zajmowała się tematyką kulturalną, literacką i artystyczną. Tłumaczka literatury białoruskiej. Jest autorką książki „Kalejdoskop. Spotkania z mniejszościami narodowymi". Otrzymała Bursztynowy Mikrofon i Pomorskie Pióro Tolerancji. Mieszka w Gdańsku.

To wszystko z miłości do miasta

O DZIESIĘCIU LATACH DZIAŁALNOŚCI TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY „WINNICA" ROZMAWIAJĄ PREZES RYSZARD BŁAŻYŃSKI ORAZ WICEPREZESI ALFRED SIATECKI I DR HAB. RYSZARD ZARADNY

Alfred Siatecki: – Żaden z nas trzech nie urodził się w Zielonej Górze. Mimo to mieszkamy w tym mieście co najmniej od pół wieku. Mieszkamy i pracujemy. Wiele rozpraw naukowych Ryszarda Zaradnego dotyczy Zielonej Góry. Ryszard Błażyński zainicjował i prowadził przez wiele lat, jeden z najważniejszych w Polsce i znaczących na świecie konkursów na rysunek satyryczny, do dziś zresztą mający się dobrze, obecnie prowadzony przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną w Zielonej Górze. Miejscem akcji moich powieści i opowiadań jest Zielona Góra. Po studiach mogłem zamieszkać w Szczecinie, Warszawie, Gorzowie, wybrałem Zieloną Górę.

Ryszard Błażyński: – Urodziłem się w Sulechowie w rodzinie wojskowej. Ojciec oficer Wojska Polskiego, z uwagi na swój zawód oraz pełnione funkcje, był przenoszony służbowo do wielu miejscowości. Mogłem więc mieszkać lub pozostać w Katowicach, Warszawie, Opolu, Wrocławiu czy Poznaniu. Jednak w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, w dość przypadkowych okolicznościach, otrzymałem bardzo ciekawą propozycję pracy w Zielonej Górze. Po przyjeździe i przeprowadzce zafascynował mnie ten zakątek Polski, zabytkowe śródmieście, niesamowity pęd do szybkiego rozwoju miasta i lasy wokół. Teraz, kiedy chodzę uliczkami śródmieścia i widzę wspaniałe kamieniczki, kawiarenki, restauracje, bachusiki... nie żałuję wówczas podjętej decyzji. Tu mam to, czego potrzebuję – przyjaciół, znajomych i wszystkie ważne instytucje takie jak: filharmonia, teatr, galerie, uniwersytet, muzea, biblioteki, pracownie artystów. Zresztą, jak twierdzą socjologowie amerykańscy, miasto w wielkości około 140 tysięcy mieszkańców jest najlepsze do codziennego życia. Patrząc na Zieloną Górą, w pełni się z nimi zgadzam.

Ryszard Zaradny: – Jak wielu moich rówieśników mogłem studiować w Poznaniu czy Wrocławiu. Wybrałem historię w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze. Po pięciu latach studiów zacząłem się rozglądać za pracą. Nie trwało to długo, bo dostałem propozycję z Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Nie żałuję wtedy podjętej decyzji. Zostałem w mieście średniej wielkości, gdzie mam dostęp do tego wszystkiego, co jest mi potrzebne. A więc do tych dóbr kultury, sztuki i nauki, do których miałbym dostęp na przykład w Gdyni, z którą próbowałem się związać. W Zielonej Górze w przeciwieństwie do takich miast jak Gdynia dość szybko i łatwo można się przemieszczać z jedno końca na drugi. I, co jest dla mnie bardzo ważne, w Zielonej Górze nie jestem całkowicie anonimowy.

AS: – Do końca lat osiemdziesiątych istniało Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry. Jakie podejmowało inicjatywy, nie potrafię ich wskazać. Być może dlatego, że zostało zdominowane przez etatowe Lubuskie Towarzystwo Kultury, które prowadziło klub filmowy, sekcję plastyków amatorów, wydawało książki, nawet miało swój organ prasowy, jakim było czasopismo „Nadodrze", organizowało spotkania, dyskusje, zapraszało osoby znane z radia, gazet i telewizji. Po jesieni narodów, jak określa się to, co miało miejsce w 1989 roku, były próby utworzenia stowarzyszenia zajmującego się tym w mieście, czym nie zajmowały się instytucje. Dopiero w listopadzie 2013 roku powstała grupa inicjująca utworzenie stowarzyszenia miłośników miasta. Mnie w niej nie było, dlatego pytam, w czyjej głowie urodził się ten pomysł.

RB: – Z tym pomysłem chodziłem wiele lat. Przedstawiałem go znajomym, przyjaciołom, a nawet zupełnie nieznanym osobom, głównie ze środowiska uniwersyteckiego (gdzie wówczas pracowałem). Wszyscy byli za, postanowiłem więc działać. 18 listopada 2013 roku wraz z grupą 20 entuzjastów zorganizowałem w pomieszczeniach Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej spotkanie założycielskie Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry. Później miałem sporo pracy organizacyjnej – przygotowanie dokumentacji związanej ze spełnieniem formalności takich jak: przygotowanie statutu, uchwał, a także dostarczenie ich do sądu rejestrowego. Zajęło to trochę czasu i różnych prawnych ustaleń, ale najważniejsze, że w lutym 2014 roku zostaliśmy oficjalnie zarejestrowani. A że Zielona Góra jest postrzegana jako winiarskie centrum Polski, po dyskusji w grupie założycielskiej doszliśmy do wniosku (by nie mylono nas z wcześniej działającymi organizacjami), że stowarzyszenie nasze będzie miało dodatkowy człon w nazwie Winnica. W lutym 2014 roku odbyło się walne zebranie stowarzyszenia, które powierzyło mi kierowanie organizacją.

RZ: – Przystąpiłem do grupy założycielskiej z taką nadzieją, że jako stowarzyszenie będziemy mogli zajmować się tym, czym nie są w stanie zajmować się instytucje. Nie chodzi mi o to, że one nie chcą brać sobie dodatkowego ciężaru. One może by i chciały, ale nie mogą robić tego, do czego nie zostały powołane. Takie stowarzyszenia jak nasze przede wszystkim zaspokajają niszowe potrzeby mieszkańców miasta, ale i, co podkreślam, wykonują zadania, których nikt by się nie podjął.

RB: – Inicjując powstanie stowarzyszenia nie spodziewałem się, że będzie aż tyle problemów formalnych. Prawo traktuje nas tak, jakbyśmy byli instytucją. Musimy mieć adres, pieczątkę, numer identyfikacji podatkowej, konto w banku. Musimy także prowadzić pełną księgowość. Dotyczy nas wpis do rejestru gospodarki narodowej, znany jako Regon. Musimy składać różne papiery w ZUS-ie, pisać sprawozdania itp., co zajmuje czas i wymaga nakładów finansowych. Skąd na to brać? A przecież potrzebujemy pieniędzy na

Ryszard Błażyński: – Teraz, kiedy chodzę uliczkami i widzę kamieniczki, kawiarenki, restauracje, bachusiki... nie żałuję wówczas podjętej decyzji

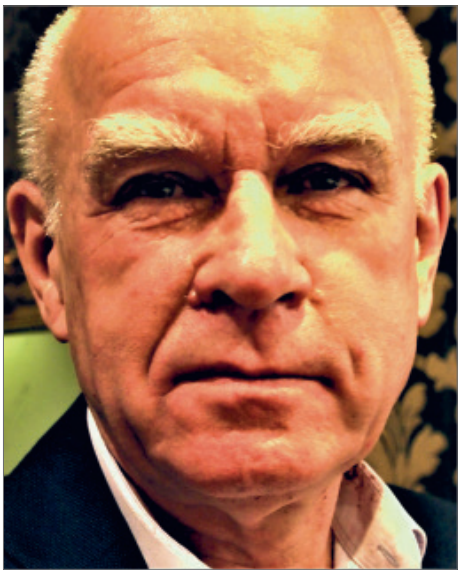

Alfred Siatecki: – Po studiach mogłem zamieszkać w Szczecinie, Warszawie, Gorzowie, wybrałem Zieloną Górę

Ryszard Zaradny: – Zostałem w mieście średniej wielkości, gdzie mam dostęp do tego wszystkiego, co jest mi potrzebne

tę działalność, która jest opisana w statucie jako cel. Składek członkowskich ledwie wystarcza na podstawowe opłaty. Gdyby nie konkursy ogłaszane przez samorządy miasta i województwa, byłoby naprawdę ciężko. Nie wszystkie nasze pomysły podobają się miejskim urzędnikom, jak i nie otrzymujemy tyle pieniędzy, o ile wnioskowaliśmy. Do dziś nie mamy własnego lokum. Miasto pozwoliło nam skorzystać z adresu jednej z zielonogórskich szkół. Samo życie, ale może teraz, przy jubileuszu dziesięciolecia, włodarz miasta spojrzy na „Winnicę" łaskawszym wzrokiem i przyjdzie czas na stowarzyszenie, mające w swoim dorobku kilkadziesiąt książek, szereg spotkań dotyczących historii Winnego Grodu i zaangażowane w poszukiwanie tego, co składa się na naszą tożsamość niegdyś i obecnie. Na wszystkie składane dotąd prośby i wnioski niestety nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

RZ: – Jest to problem nie tylko naszego stowarzyszenia, a wszystkich znanych mi organizacji tworzących tak zwany sektor obywatelski. Odnoszę wrażenie, że niekiedy rozdział pieniędzy podczas konkursów odbywa się na zasadzie: damy tyle, ile zechcemy dać. Niech szukają pieniędzy gdzieś indziej. Albo damy temu, czyj wniosek nam się podoba.

AS: – Nasze stowarzyszenie, liczące sześćdziesięciu członków głównie ze środowiska naukowego, dziennikarskiego, literackiego i osób zajmujących się upowszechnianiem kultury oraz sztuki, istnieje dziesięć lat. Mamy czym się pochwalić. Choćby wydawanym od siedmiu lat magazynem „Na Winnicy". Kiedy zaczynaliśmy, jeden z radnych miejskich przepowiadał, że jeśli wydamy trzy numery, to będzie sukces. Wydajemy numer 14, w przygotowaniu jest numer 15. Wersja papierowa „Na Winnicy" dociera do członków stowarzyszenia, radnych, osób zainteresowanych przeszłością miasta i jego współczesnymi problemami. Magazyn jest dostępny w bibliotekach, informacji turystycznej, instytucjach kultury. Wersja elektroniczna do pobrania znajduje się na stronie www.tmzg.org.pl. Magazynu nie można kupić w sklepie, ponieważ jako stowarzyszenie otrzymujące pieniądze z urzędu miejskiego nie możemy prowadzić sprzedaży.

RB: – Tę inicjatywę uważam za udaną i cenną. Jak i to, że od 2015 roku odbywa się konkurs literacki na utwór o tematyce zielonogórskiej. Swoje opowiadania i wiersze przysyłają autorzy z całej Polski. Nagrodzone prace drukuje magazyn „Na Winnicy". Główną nagrodą jest opublikowanie książki laureata w naszym wydawnictwie. Dotąd ukazało się sześć tomików poetyckich i dwa zbiorki opowiadań, następna książka powinna wyjść w 2024 roku. Coraz większym zainteresowaniem piszących cieszy się Zielonogórska Nagroda Literacka „Winiarka", do której kandydatów zgłaszają członkowie stowarzyszenia, czytelnicy, bibliotekarze, literaci, radni. Laureata wybiera kapituła złożona z historyków literatury, czytelników i członków współpracującego z nami Związku Literatów Polskich.

RZ: – Będąc jednym z autorów magazynu „Na Winnicy" przypominam, że zielonogórskie środowisko akademickie wydaje kilka pism o profilu humanistycznym, mają one charakter naukowy i są adresowane do wąskiego grona specjalistów. Do niedawna Muzeum Ziemi Lubuskiej wydawało bardzo interesujące periodyki „Studia Zielonogórskie" i „Ziemia Lubuska". Pierwszy tytuł przestał się ukazywać. Biblioteka Norwida wydaje czasopismo „Pro Libris ", w którym dominują teksty literackie. Podobny charakter mają „Pasje Literackie", wydawane przez oddział Związku Literatów Polskich. Nasz magazyn stara się być pomiędzy czasopismem naukowym i popularnym, przybliżając czytelnikom historię, ciekawych mieszkańców, powstające tu książki itp. dotyczące miasta.

RB: – Jako stowarzyszenie staramy się przypominać osiągnięcia osób, o których niewiele się mówiło, a które zasługują na prezentację ich dorobku. Na przykład zorganizowaliśmy wystawę prac fotografika, który nazywał się Zbigniew Rajche. Mimo że zajmował

się fotografiką jako amator, liczne jego prace mają tak wartość artystyczną, jak i, a może przede wszystkim, dokumentacyjną. Przy wsparciu Muzeum Ziemi Lubuskiej, w jego salach urządziliśmy wystawę jego prac a następnie prac znakomitego fotoreportera Bronisława Bugla. Mamy swój udział w organizacji wystawy urodzonego w Zielonej Górze artysty Jerzego Fedry. Punkt widzenia 30/60". Udało się nam zaprosić z wystawą rysownika Zbigniewa Jujkę z Gdańska, kiedyś mieszkańca Zielonej Góry. Na nasze zaproszenie odpowiedział Jacek Frąckiewicz, znakomity grafik, prezentując swoje prace w sali muzeum. Włączyliśmy się do Lata Muz Wszelakich przez zorganizowanie spotkań ze wybitnymi rysownikami Bohdanem Butenką i Henrykiem Chmielewskim znanym jako Papcio Chmiel.

AS: – Pierwsza książka wydana przez stowarzyszenie wyszła w 2015 roku. Od tego czasu ukazało się 15 tomików poetyckich, siedem powieści i zbiorów opowiadań, dwa albumy i dwie prace historyczne. W serii Debiuty Winnicy ukazały się książki Natalii Haczek i Aleksandry Kurzawy. Moja powieść „Szwindel w Grünbergu" została nagrodzona Lubuskim Wawrzynem Literackim. Za wiersze składające się na tomik „Głód" Natalia Haczek otrzymała Srebrne Sokole Pióro i Nagrodę Rektora Akademii im. Jakuba z Paradyża za debiut literacki. Książki „Anna" Mirosławy Szott i „Konteksty nieodległe" Krzysztofa Ziemskiego zostały wyróżnione za opracowania edytorskie.

RB: – Naszym celem jest wskazywanie osób i instytucji szczególnie zasłużonych dla miasta. Temu służy przedsięwzięcie pod hasłem Przyjaciel Zielonej Góry, prowadzone od roku 2021. Kandydatów mogą proponować wszyscy zielonogórzanie. Laureata wybiera kapituła powołana przez stowarzyszenie. Pierwszym laureatem został Uniwersytet Zielonogórski, największa uczelnia w regionie lubuskim, bez której miasto nie miałoby szans na rozwój. Kolejnym wyróżnionym było Muzeum Ziemi Lubuskiej, świętujące w 2022 roku swoje stulecie. Statuetkę i indywidualne wyróżnienie oraz tytuł Przyjaciela Zielonej Góry otrzymał nestor historyków, były rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej, autor wielu prac dotyczących przeszłości miasta, profesor Hieronim Szczegóła.

RZ: – Zarzucano nam, że nagradzamy, wydajemy, promujemy, a za mało rozmawiamy o historii miasta i jego przyszłości. Na początku istnienia organizowaliśmy spotkania w kawiarence Déjà vu, na które zapraszaliśmy zielonogórzan. Przychodzili nieliczni. Dopiero kiedy w 2022 roku zaproponowaliśmy comiesięczne spotkania z autorami trzytomowej „Historii Zielonej Góry", sala Witrażowa w Muzeum Ziemi Lubuskiej była pełna. Ostatnie spotkanie musieliśmy przenieść do dużo większej sali im. Jana Muszyńskiego. W 2023 roku kontynuowaliśmy Rozmowy o Zielonej Górze we współpracy z biblioteką Norwida. Słuchaczy zawsze było tylu, ilu zmieściło się w Pro Libris Café. Wszystkie spotkania, a dotyczyły one życia teatralnego, muzycznego, sportowego, przyrody, winiarstwa, mediów kończyły się dyskusjami.

RB: – W tym, co udało się zrobić, mają swój udział osoby i instytucje spoza stowarzyszenia, które nas wspierają, podpowiadają i bywa, że krytykują. Modelowo układa się nasza współpraca z Uniwersytetem Zielonogórskim. Tak samo z Muzeum Ziemi Lubuskiej, bez którego nie udałoby się przeprowadzić ubiegłorocznych spotkań z autorami „Historii Zielonej Góry". Jesteśmy wdzięczni bibliotece Norwida za udostępnienie kawiarenki, w której prowadzimy „Rozmowy o Zielonej Górze". Nawiązaliśmy kontakt z Zielonogórskim Uniwersytetem Trzeciego Wieku. Naszym partnerem w promowaniu miasta i twórców jest oddział Związku Literatów Polskich. Z tymi instytucjami i organizacjami zawarliśmy umowy o współpracy.

AS: – Udało się sporo zrobić. Być może, że gdyby nie nasze stowarzyszenie, czegoś by brakowało w pejzażu miasta. Jednak nie wszystko, co zaplanowaliśmy, wyszło nam. Nie udało się przygotować i wydać encyklopedii Zielonej Góry, a miał to być nasz wkład w osiemsetlecie miasta. O encyklopedii pisaliśmy w „Na Winnicy" w 2020 roku. Na moje pytanie, co się stanie, jeśli stowarzyszenie nie zdobędzie pieniędzy na wydanie tej książki w 2022 roku, Ryszard Zaradny odpowiedział: „Prace nad encyklopedią trwają. Nie ma takiej siły, która je zatrzyma. Jeżeli nie uda się wydać encyklopedii na osiemsetlecie miasta, wydamy ją rok później, dwa lata później, ale musimy wydać, żeby i po nas coś zostało"(...) Liczę na pomoc finansową Urzędu Miasta".

RZ: – Wtedy miałem prawo tak powiedzieć, tym bardziej że wielu prominentnych zielonogórzan, łącznie z prezydentem miasta, zapewniało, że pomogą nam. Podczas spotkania z przewodniczącym Rady Miasta usłyszeliśmy, że nie tylko nas wspiera, ale i pomoże. Organizacyjnie zrobiliśmy wszystko, do czego się zobowiązaliśmy. Zanim powołaliśmy komitet honorowy, składający się z najbardziej prominentnych osób w Zielonej Górze, utworzyliśmy zespoły autorskie. Zespoły wytypowały ponad cztery tysiące haseł do encyklopedii i gotowe czekały na sygnał do pracy. Mogliśmy dać sygnał, mając pewność, że będzie za co przygotować i wydać encyklopedię w wersji elektronicznej i papierowej. Ucieszyliśmy się, gdy w pierwszym projekcie programu obchodów osiemsetlecia miasta znalazło się wydanie encyklopedii. Na ręce prezydenta miasta złożyliśmy wniosek z wyliczeniem kosztów i uzasadnieniem. Do dziś nie otrzymaliśmy odpowiedzi, mimo że Kodeks postępowania administracyjnego nakazuje urzędowi udzielenie odpowiedzi bez zbędnej zwłoki. Gdy zaczęliśmy pukać do drzwi przedsiębiorców, wybuchła pandemia.

RB: – Z jednej strony encyklopedia miała być pomnikiem na osiemsetlecie miasta, z drugiej wiarygodnym źródłem wiadomości o ludziach i wydarzeniach w Grünbergu /Zielonej Górze. Na razie nie składamy tego projektu w archiwum. Wierzę, że Zielona Góra tak samo jak Wrocław, Szczecin, Gdańsk, Poznań, Rzeszów, Zamość, Mielec czy Gorzów będzie miała swoją encyklopedię, bo na nią zasługuje.

Od wiosny do jesieni

29 marca w kawiarence Pro Libris odbyło się doroczne zebranie sprawozdawcze Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry „Winnica". Stowarzyszenie liczy 60 członków, w zebraniu uczestniczyło 18. Sprawozdania merytoryczne i finansowe członkowie otrzymali na piśmie razem z zawiadomieniem o zebraniu, mimo to Ryszard Błażyński w skrócie je omówił. Za najważniejsze w 2022 r. prezes uznał prowadzenie całorocznego cyklu spotkań z autorami „Historii Zielonej Góry", przeprowadzenie ogólnopolskiego konkursu na utwór literacki o tematyce zielonogórskiej, wydawanie magazynu „Na Winnicy", wydanie trzech książek literackich, wybór laureata Zielonogórskiej Nagrody Literackiej „Winiarka" i laureatów plebiscytu Przyjaciel Zielonej Góry. Koszty działalności stowarzyszenia wyniosły 46 432 zł, z dotacji pochodziło 37 710, z darowizn pieniężnych – 2576, ze składek członkowskich – 1846 zł. Po krótkiej dyskusji zebrani udzielili absolutorium ustępującemu zarządowi i zapoznali się z planem pracy na 2023 r.

Nasze stowarzyszenie wróciło do Związku Lubuskich Organizacji Pozarządowych. W uchwale tej organizacji czytamy, że postanowiono: „Na podstawie postępowania wyjaśniającego umorzyć w całości zaległe składki członkowskie na rzecz ZLOP od Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry »Winnica« według stanu na 31 grudnia 2022 r. Odwiesić w prawach członka zwyczajnego Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry »Winnica«". Oznacza to, że nasze stowarzyszenie może uczestniczyć programach ZLOP i korzystać z przywilejów dla członków.

2 marca 2023 r. TMZG„W" zawarło porozumienie z Zielonogórskim Uniwersytetem Trzeciego Wieku. Jest w nim mowa o wspieraniu „działalności kulturalnej, historycznej, artystycznej i naukowej przyczyniającej się do rozwoju Zielonej Góry, do upamiętniania przeszłości i tradycji, a także najciekawszych współczesnych inicjatyw w naszym regionie, ze szczególnym uwzględnieniem aktywizacji społecznej ludzi starszych, przy tym inicjatywnych". Oba stowarzyszenia będą organizowały wystawy, spotkania, konkursy i festiwale, „promując Zieloną Górę". Będą podejmowały wspólne inicjatywy wydawnicze. 3 marca stowarzyszenie zawarło porozumienie o podobnej treści z Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną

W 2022 r. Zielona Góra świętowała 800-lecie miasta. Z okazji jubileuszu nasze stowarzyszenie wspólnie z Muzeum Ziemi Lubuskiej zorganizowało 10 spotkań z autorami trzytomowej „Historii Zielonej Góry". W 2023 r., kiedy Zielona Góra świętowała 700-lecie nadania pełni praw miejskich, spotkania były kontynuowane w bibliotece im. Norwida. Odbywały się one pod hasłem „Rozmowy o Zielonej Górze". Cykl zainaugurował dr Andrzej Buck pogadanką o życiu teatralnym Zielonej Góry. Kolejne tematy dotyczyły spraw literackich, muzycznych, bioróżnorodności, organizacji pozarządowych, sportu, winiarstwa, mediów.

15-lecie pracy twórczej świętował pisarz Krzysztof Koziołek. Zielonogórzanin jest autorem 24 powieści i zbiorów opowiadań, wydanych w wersji papierowej, elektronicznej i jako audiobooki. W połowie czerwca 2023 r. zielonogórskie wydawnictwo Manufaktura Tekstów wydało jego powieść „Osaczony". W tym samym czasie firma K&K Film Selekt kupiła prawa do opcji filmowych dotyczących powieści „Enigma: liczba wszystkich liczb" i „A potem już tylko nic", obie ukazały się w 2022 r. W Krzeszowie (w maju) i Lubawce (w lipcu), gdzie dzieje się akcja powieści zielonogórzanina, powstały trasy turystyczne śladami komisarza kryminalnego Gustava Dewarta, bohatera serii książek „Imię Pani". Obie miejscowości leżą w powiecie kamiennogórskim na Dolnym Śląsku.

Powieść Przemysława Piotrowskiego „Bagno" głosami czytelników zajęła drugie miejsce w plebiscycie portalu Lubimyczytac.pl na Książkę roku w kategorii sensacja/kryminał/thiler. W maju 2023 r. warszawskie wydawnictwo Czarna Owca wydało „La Bestię" tego autora. Książka powstała po podróży pisarza do Kolumbii, gdzie wędrował „śladami największego seryjnego mordercy wszech czasów". To samo wydawnictwo opublikowało debiutancką powieść zielonogórzanina „Kod Himmlera" z 2015 r. w poprawionej wersji. „Uwierzcie – zwraca się autor do facebookowych czytelników – że czytając niektóre fikuśne konstrukcje momentami rwałem sobie włosy z głowy. Po dłuższym namyśle postanowiłem, że zachowam debiutancki klimat, ale choć trochę poprawię narrację i styl".

Śląskie wydawnictwo Vectra opublikowało powieść Aldony Reich „Ziemia odzyskana", drukowaną wcześniej w odcinkach na łamach „Gazety Lubuskiej". Patronem medialnym książki jest nasze stowarzyszenie. Recenzja na str. 14.

W polskim oddziale duńskiego wydawnictwa Saga ukazała się elektroniczna wersja powieści Alfred. Siateckiego „Szwindel w Grünbergu". Wersję papierową, nagrodzoną Lubuskim Wawrzynem Literackim 2021, wydało nasze stowarzyszenie. To samo wydawnictwo opublikowało elektroniczne wersje powieści „Majątek", „Winne Wzgórze", „Morderca ukrył się przed sobą" i „Chcica", będące ostatnimi częściami cyklu z redaktorem śledczym Danielem Jungiem. Pod koniec 2022 r. wielkopolskie wydawnictwo Agrafka opublikowało wersję elektroniczną i w maju 2023 wersję papierową opowieści „Kocha nie oczekując wzajemności" tego autora. Latem wyszedł zbiór opowiadań poniekąd zielonogórskich, jak brzmi podtytuł, „Pokuta mojego dziadka", wydany przez nasze stowarzyszenie. Wersję elektroniczną wyda Saga Egmont.

Sześciorgu uczonych z Uniwersytetu Zielonogórskiego, którzy w 2022 r. otrzymali tytuł profesorski, prezydent Zielonej Góry wręczył nagrody. Wśród uhonorowanych była członkini naszego stowarzyszenia prof. dr hab. Marta Ruszczyńska z instytutu Filologii Polskiej. Jesienią 2023 r. TMZG„W" wydało debiutancką powieść zielonogórzanki „Diabeł i panna".

Nagrody kulturalne prezydenta Zielonej Góry za 2023 rok otrzymało dziesięć osób i jeden zespół, wśród nich członkowie naszego stowarzyszenia – historyk prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski, „regionalista wyjątkowo zaangażowany w sprawy rodzinnego miasta", i pisarz Krzysztof Koziołek, który w 2023 rozpoczął „szesnasty rok znakomitej promocji Zielonej Góry". W. Strzyżewski został udekorowany odznaką honorową Za Zasługi dla Województwa Lubuskiego.

Laureat ósmej edycji naszego konkursu literackiego na utwór o tematyce zielonogórskiej Marcin Mielcarek otrzymał stypendium artystyczne prezydenta Zielonej Góry. W 2013 r. TMZG„W" wydało zbiór jego opowiadań „Nad górą wisi zielone słońce".

Plac Słowiański

fot. Alicja Błażyńska

Winiarka Emma nie ta sama, ale taka sama

Żużlowy Falubaz wrócił do ekstraligi w 2023 roku. To jest prawda. Nie jest prawdą, że winiarka Emma wróciła do Zielonej Góry. Pomnik, który od końca sierpnia 2023 r. stoi na skwerze u zbiegu al. Niepodległości i ul. Bolesława Chrobrego jest rekonstrukcją obiektu, który w 1937 r. stanął blisko tego miejsca.

W 2017 roku miasto zapytało zielonogórzan, na co wydać pieniądze z budżetu obywatelskiego. Wśród 18 051 ważnych głosów 526 było za odtworzeniem legendarnego pomnika winiarki Emmy. Jak wyglądał pomnik, można było zobaczyć w przedwojennych gazetach i na widokówkach z Grünbergu.

Historia wspomnianego pomnika zaczęła się w Brunszwiku. Pochodząca z tego miasta Emma Freitag wyszła za mąż za Karla Heinego, sukiennika, który w Czerwieńsku miał pralnię wełny. W 1899 r. przeprowadziła się do domu w Zielonej Górze przy dzisiejszej al. Niepodległości. Tu wpadła na pomysł, aby na pobliskim skwerze postawić coś, co będzie jej przypominało rodzinne miasto. Z prośbą zwróciła się do profesora drezdeńskiej uczelni plastycznej Arnolda Kramera. W 1914 r. artysta obejrzał miejsce, gdzie stanie jego dzieło i niebawem przygotował projekt rzeźby. Jej wykonanie w odlewni w Dreźnie miało kosztować 9 tys. marek. Niestety wybuchła pierwsza wojna światowa i z brązu przeznaczonego na rzeźbę odlano armaty. W 1916 r. zmarła pomysłodawczyni. Dopiero w latach trzydziestych jej córce udało się zdobyć fundusze niezbędne na wykonanie odlewu. W 1937 r. pomnik został odsłonięty w wcześniej wybranym miejscu. „Grünberger Wochenblatt" tak przedstawił to, co wykonał rzeźbiarz: „Młoda, zgrabna niewiasta przychodzi z winnicy i odpoczywa na brzegu fontanny. Ciężka, pofałdowana spódnica, która noszona jest jako ubranie robocze niezależnie od mody, nie jest w stanie zaburzyć jej delikatnych kształtów". Pierwowzorem pomnikowej winiarki miała być Emma Heine. Dlatego grünberczycy nazywali ten pomnik Winiarką Emmą. Co się z nim stało po wybuchu drugiej wojny, nie wiadomo.

Odsłonięty w sierpniu 2023 roku pomnik winiarki Emmy stoi na skwerze u zbiegu al. Niepodległości i ul. Bolesława Chrobrego *fot. Alicja Błażyńska*

Odsłonięty w 1937 roku pomnik stał na skwerze przy Bahnhofstrasse (obecnie al. Niepodległości) *fot. archiwum*

Wykonania rzeźby nowej Emmy podjął się twórca wielu bachusików artysta Artur Wochniak. Miał do dyspozycji jedynie niezbyt wyraźne stare zdjęcia. Czy rzeźba, która powstała w pracowni zielonogórskiego artysty jest podobna do tej, którą wykonał prof. Kramer? Trochę tak i trochę nie. Na pewno jest utrzymana w konwencji, jaka obowiązywała w pierwszej połowie XX wieku. Sporo z wyglądu tamtej postaci A. Wochniak przeniósł do swojego dzieła, ale i sporo zmienił. Lepiej powiedzieć, że wykonał tak, jak uważał za najlepsze. Artysta nie ukrywa, że jego Emma ma twarz współczesnej modelki, odpowiednio ufryzowanej i upozowanej. Tak jak oryginał, postać kobiety została odlana z brązu. Pozostałe elementy pomnika, wykonane przez firmę Katanga z Suchedniowa, są z piaskowca.

Tamta Emma patrzyła na grünberczyków idących Bahnhofstrasse. Ta, stojąca w głębi skweru między al. Niepodległości i ul. Bolesława Chrobrego, ma przed sobą odnowiony zabytkowy budynek, a za sobą rondo Romana Dmowskiego.

W tubie z boku pomnika są listy do Emmy. „Witamy ponownie w przestrzeni naszego miasta, masz tu wielu sympatyków i przyjaciół. – napisał Czesław Osękowski, przewodniczący komitetu organizacyjnego jubileuszy Zielonej Góry. – Wracasz w miejsce, w którym po II wojnie światowej zmieniło się niemal wszystko, ale zachowała się winiarska tradycja. Byłaś jej uosobieniem i chociaż nie było Ciebie wśród nas przez ostatnich kilkadziesiąt lat, teraz wracasz i znowu będziesz symbolizować zielonogórskie winiarstwo. Nie jesteś ta sama, ale… jesteś taka sama. To znak ciągłości i trwania miejsca, w którym dzisiaj żyjemy i pracujemy. Jestem pewien, że tym razem pozostaniesz wśród nas na zawsze i będziemy mogli wspólnie cieszyć się z tego, że Zielona Góra jest stolicą polskiego wina".

DJ